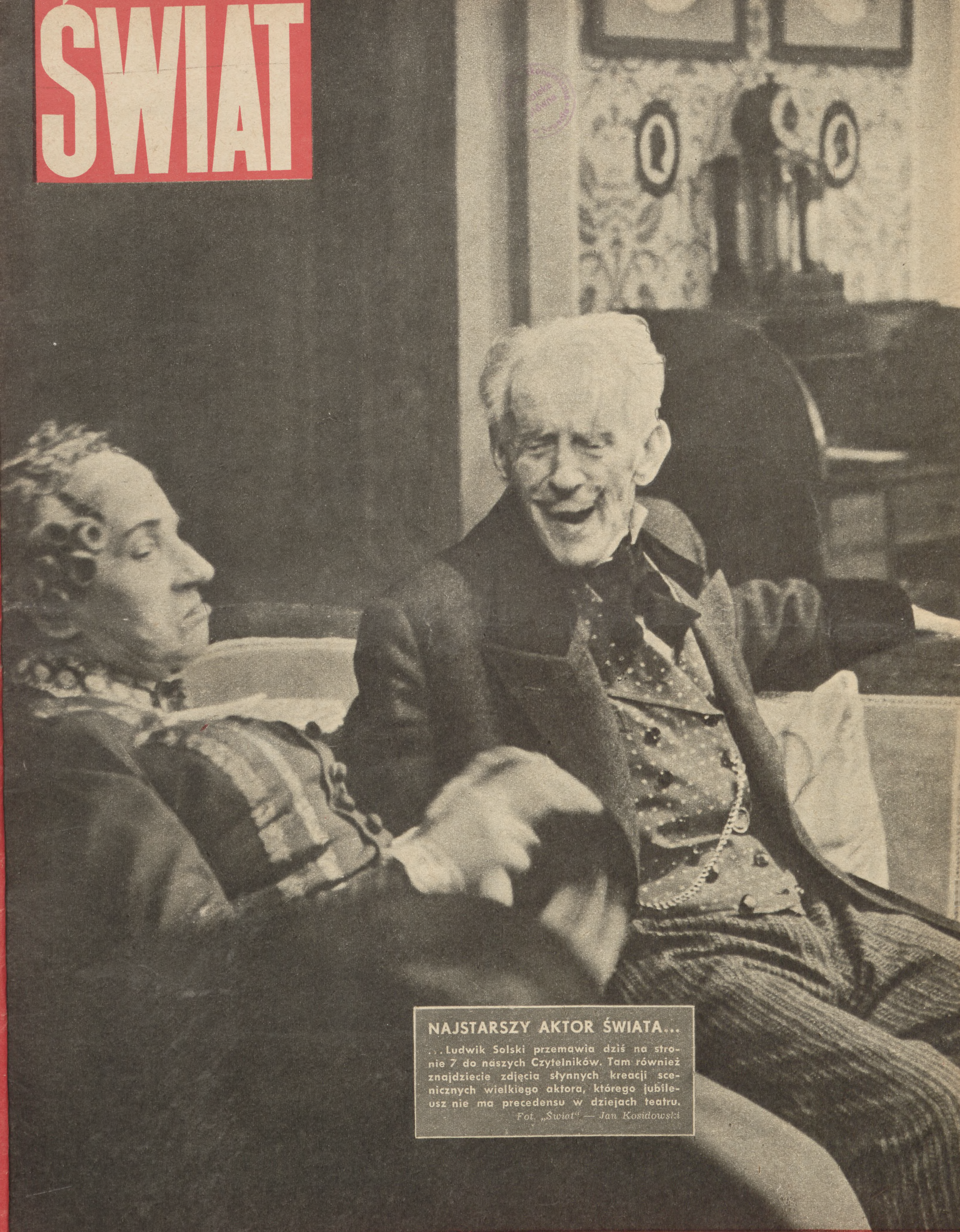




NAJSTARSZY AKTOR ŚWIATA...

...Ludwik Solski przemawia dziś na stronie 7 do naszych Czytelników. Tam również znajdziecie zdjęcia słynnych kreacji scenicznych wielkiego aktora, którego jubileusz nie ma precedensu w dziejach teatru.

Fot. „Świat” — Jan Kosidowski

Z KAMERA NA SALI OBRAD

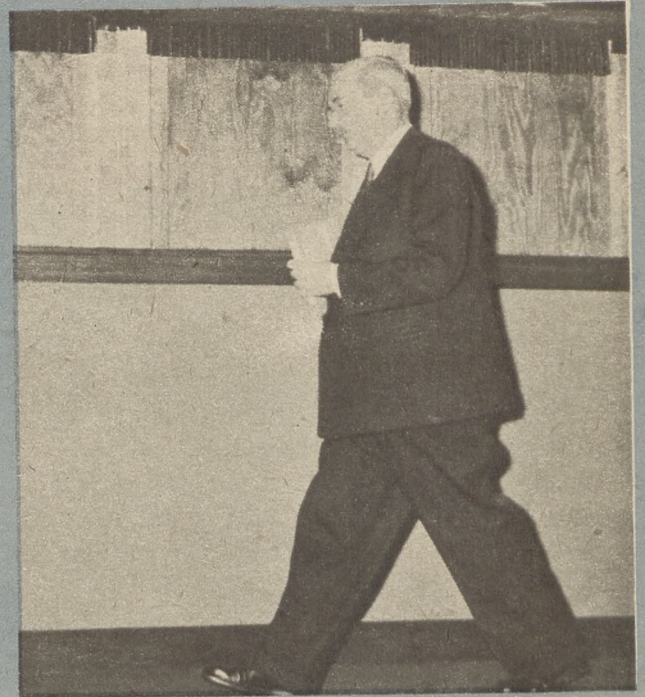
ZDJĘCIA: WŁADYSŁAW SŁAWNY



Jakże dumni byli delegaci, że na nasz Zjazd przybył towarzysz Chruszczow. Z wielką uwagą przysłuchiwał się on obradom. Gorąco oklaskiwał mówców, informujących Zjazd o tym, co na ich terenie już zrobiono — i co trzeba jeszcze zrobić



Po nowemu mówią nowi ludzie w Polsce Ludowej. Ten murarz z Krakowa, tow. Józef Bek, analizował po gospodarsku, z odpowiedzialnością ważne zagadnienia budownictwa na swym terenie



Tow. Hilary Minc schodzi z trybuny po przemówieniu. Mówił on szczegółowo o tym, co trzeba robić, by ludziom w Polsce żyło się lepiej i dostatniej, by podwyższyli się ich realne dochody



Tow. Chwałek (z lewej), minister Komunikacji NRD, walczył niegdyś w szeregach KPD na Opolszczyźnie. Oto rozmawia ze starymi współbojownikami z KPP i KPD, delegatami z Opolszczyzny



Co dwie godziny dwudziestominutowa przerwa. Od 14 do 16.30 przerwa obiadowa. Tow. Berman (z teczka w ręku) w rozmowie z tow. Czerwińskim, przewodniczącym Związku Zawodowców Górników



W czwartym dniu Zjazdu zmieniono miejsca delegacji, by przybliżyć do trybuny tych, którzy przedtem siedzieli daleko. Tow. Apryas na nowym miejscu



Tow. Raymond Guyot, delegat francuski (z lewej) w serdecznej gawędzie z repatriantami z Francji. Górnik-repatriant zasłużył się dobrze Polsce Ludowej — mówią o tym orderzy



Jak Polska długa i szeroka — zewsząd przyjechali delegaci. Kapitan marynarki z Gdyni, Błachowski, i chłop indywidualny z Podhala, Proński



Podniesienie stopy życiowej mas pracujących: Jakże podobne hasło mogłoby nie trafić do milionów kobiet w naszej Ojczyźnie? One to przecież najbezpośredniej stykają się z codziennym życiem

Poznali się w walczącej, bohaterskiej Hiszpanii — spotkali się w odbudowującej się bohaterskiej Warszawie: Enrico Lister i gen. Hibner

Bogdan Czeszko (z prawej), pisarz, delegat na Zjazd. I on odpowiedzialny jest za to, by ludzie w Polsce żyli coraz kulturalniej, by coraz więcej było dobrych książek

Czapki górnicze stoją na półce, by nie zniszczyły się pióropusze. Za pełną troskliwość obsługę w garderobie i stołówkach, za pełną kultury pracę straży porządkowej — dziękujemy Wam towarzysze!





LUDZIE, których widzicie na zdjęciu, rozjechali się już do swych domów i warsztatów pracy, do miast i wsi położonych w różnych stronach naszego kraju. Przez osiem dni obradowali nad środkami i sposobami przyśpieszenia naszego marszu do socjalizmu, przybliżenia jego pełnego zwycięstwa. Jakież to są środki i sposoby? II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, będący wspianym bilansem naszych osiągnięć w dziedzinie uprzemysłowienia Polski, ześrodkował swą uwagę na podniesieniu stopy życiowej mas pracujących miast i wsi. Co należy zrobić, ażeby człowiekowi żyło się w Polsce coraz lepiej, coraz dostatniej i szczęśliwiej — oto w najkrótszych słowach kierunek obrad II Zjazdu. Ażeby ludziom żyło się lepiej, ażeby dać im — według określenia towarzysza Bieruta — „więcej mięsa i tłuszczów, więcej mleka i cukru, więcej surowców dla naszego przemysłu artykułów masowego spożycia” — należy podnieść wzrost naszej produkcji rolnej, jak najbardziej zmniejszyć dysproporcję między rozwojem rolnictwa a rozwojem przemysłu, podnieść wydajność naszej gleby i udzielić jak najwydatniejszej w tym kierunku pomocy zarówno gospodarstwom indywidualnym, jak spółdzielniom produkcyjnym i Państwowym Gospodarstwom Rolnym. Dać wsi więcej maszyn rolniczych, więcej nawozów sztucznych, więcej artykułów masowego spożycia i to coraz lepszych, zaopatrzyć wieś w środki transportu, rozszerzyć poważnie sieć punktów usługowych — oto najbliższe zadania. Dać miastu

i wsi coraz więcej tkanin i butów — i to wciąż lepszych i piękniejszych, więcej kiełbas, serów i cukierków — i to coraz smaczniejszych — oto praktyczne obowiązki. W tym celu trzeba przyspieszyć rozwój naszej bazy surowcowej, polepszyć transport kolejowy, podjąć aktywniejszą niż dotąd walkę o postęp techniczny. W tym celu należy planować i inwestować jak najracjonalniej, nieustannie podnosić wydajność pracy, nieustannie i o wiele energiczniej niż dotychczas walczyć o obniżkę kosztów własnych. Tego wszystkiego trzeba dokonać — ażeby człowiek w Polsce był szczęśliwszy, ażeby w najbliższych dwóch latach realne płace robotników, pracujących chłopów i pracowników umysłowych podniosły się o 15—20%.

Właśnie ludzie, których widzicie na zdjęciu, właśnie oni pierwsi przekazują swym partyjnym i bezpartyjnym towarzyszom pracy i walki tak bogate w konkretną treść zalecenia II Zjazdu PZPR.

Zalecenia te wprowadzać będzie w życie cały naród polski pod przewodnictwem Partii. Partia zaś, kierownicza siła narodu, coraz usilniej będzie ulepszać metody swej kierowniczej pracy — w oparciu o ideową treść Zjazdu, w oparciu o nowy statut, w oparciu o rosnące zastępy nowych ludzi, natchnionych gorącym poczuciem odpowiedzialności za wszystko, co dzieje się w kraju.

Ludzie, których widzicie na zdjęciu, wrócili do swych domów i miejsc pracy, by pod sztandarem Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina prowadzić swych towarzyszy walki do nowych zwycięstw, do pełnego zwycięstwa socjalizmu w Polsce.



Podczas przerwy — szef Sztabu Generalnego gen. Bordziłowski, ambasador Grosz i gen. Melenas.



Podczas obrad — Aleksander Zelwerowicz, w głębi — wicemin. Obrony Narodowej gen. Popławski

Wśród delegatów z województwa stalinogrodzkiego było dużo górników. Na Zjazd wybrani zostali przodujący ludzie naszego największego narodowego przemysłu.



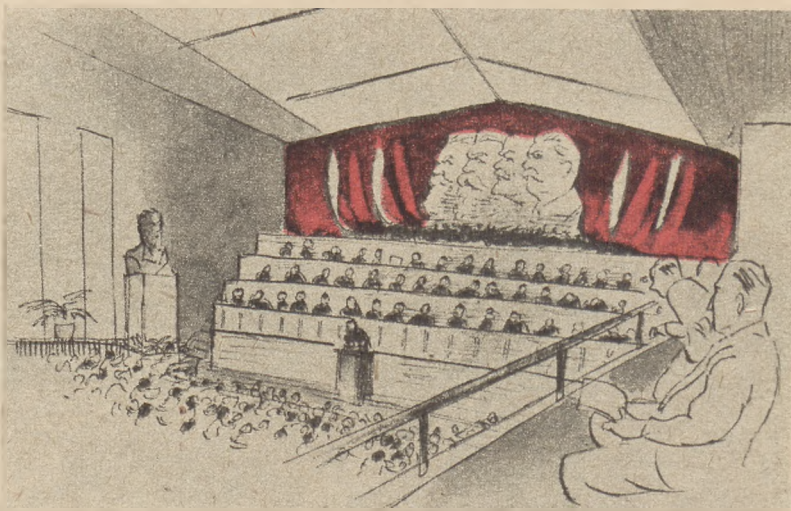
SWIAT NASZA KRONIKA

CALY naród, naród dwudziestu sześciu i pół miliona ludzi, odbył krótki, ale pełen treści kurs. Dorobek myśli politycznej Zjazdu PZPR w całości dopiero stanie się wspólną własnością wszystkich Polaków, ale już dziś pod wieloma względami jaśniej nam w głowach, choć trzeba powiedzieć, żeśmy nienajgłupszy w tym świecie.

Jeden agenciak imperialistyczny pisał kiedyś w pewnym piśmie emigranckim, że trzeba uczyć się marksizmu. Że niby oni powinni się uczyć marksizmu, jeśli chcą z nim skutecznie walczyć. Tłumaczył ten agenciak swoim polskim i innym kolegom, że marksizm to nauka, że niepowodzenie imperializmu, niepowodzenia w dziedzinie walki z Rewolucją Październikową, ze Związkiem Radzieckim i z międzynarodowym, rewolucyjnym ruchem robotniczym biorą się nie z czego innego, jeno z tego właśnie powierchownego, policyjnego podejścia do marksizmu, który właśnie jest nauką.

„Trzeba się uczyć, przemiąć wiek złoty” — starał się agenciak powtarzać za Krasickim. Ba, ale sami wyuczeni agenci niewiele zdziałają przeciw mądrym masom, przeciw mądrym narodom. Kapitalizm opiera się na głupocie, na ciemnocie, na zafobaniu swoich poddanych. Każda iskra oświecenia to dla niego rzecz niebezpieczna. Marksizm opiera się na ludziach światłych, na mądrych narodach, kapitalizm tę światłość, tę mądrość zwalcza. Trudno bowiem najszersze masy uczyć mądrości kapitalizmu, mądrości zysku, wyzysku i wojny. Każde takie nauczanie prowadzić musi do niebezpiecznych dla kapitalizmu skutków. Niech angielscy kolonizatorzy spróbują uczyć Murzynów w Kenii kapitalizmu. Może to odnieść jeden tylko skutek: wzmocnić walkę z imperializmem, prowadzoną przez lud Kenii.

ATU oświata, mądrość, stałe pogłębianie świadomości sprzyja ustrojowi socjalistycznemu. Uczymy się też wszyscy stale i uporczywie. Zjazd to był skok w naszej świadomości. Zjazd nauczył nas wiązać ze sobą znane nam skądinąd objawy i fakty, nauczył nas rozumieć je jeszcze lepiej niż dotychczas. Zjazd w zakresie problemów gospodarczych wysunął na pierwszy plan dwa zagadnienia fundamentalne, stanowiące nakaz Partii na najbliższy okres.



Karol Ferster: Widok ogólny sali obrad

Te dwa zagadnienia to rozwój rolnictwa i dążenie do pełniejszego zaspokojenia ludzkich potrzeb.

Rozwój rolnictwa wiąże się w prosty i jasny sposób z zagadnieniem coraz doskonalszego zaspokajania potrzeb. Socjalizm wyrasta z naturalnych dążeń ludzkich do zaspokojenia wszechstronnych potrzeb ludzkich, których nie może, nie umie i nie chce zaspokoić kapitalizm. Czy jednak aktualne zaspokojenie potrzeb stanowiąc ma osiągnięcie ostatecznego celu socjalizmu?

Na to znaleźliśmy odpowiedź w referacie Bolesława Bieruta. Stwierdził on, iż zaspokojenie potrzeb ludzkich przyczynia się do dalszego rozwoju sił i możliwości produkcyjnych. Inaczej mówiąc: zaspokojenie potrzeb nie stanowi kresu naszych dążeń, ale dalsze otworzenie perspektyw rozwojowych, nie jest kresem, ale dźwignią postępu — stałego, trwałego, nieograniczonego.

ZJAZD pomógł nam również lepiej spojrzeć na nasze państwo ludowe, które zbudowaliśmy, którego ustroj oparty został na konstytucji z 22 lipca 1952 roku. Lud polski w państwie tym dokonał wielkiego dzieła, zbudował państwo polskie, jakiego nie było, jeśli chodzi o jego siłę gospodarczą, jego przemysł, jego politykę zagraniczną, spójność wewnętrzną, jego służbę dla najszerszych mas ludowych. Ale ta bliskość człowieka w Polsce i jego państwa, realizująca się w codziennej trosce o wszystkie ludzkie sprawy, nie dotarła jeszcze

dość głęboko do świadomości ludzi. Powiedzieć można, że wszyscy żyjemy w nowym państwie ludowym i korzystamy zeń, ale w stosunku naszym do tego państwa, do jego funkcji i jego instytucji w niejednym z nas pokutuje stosunek do dawnego państwa burżuazyjnego.

I tutaj na pierwszy plan wysuwa się sprawa ludzi, wychowania ludzi, uczenia ich czym jest państwo ludowe, które potrzebuje aktywności najszerszych mas ludowych w mieście i na wsi, jak człowiek do życia potrzebuje powietrza. Nasza demokracja, jedyna istotna i prawdziwa demokracja, prawdziwa, bo nie łże-demokracja kapitalizmu, rośnie i rozkwita aktywnością, zaufaniem mas.

Stąd Zjazd zwrócił tak wielką wagę na konieczność rozwoju krytyki i samokrytyki, zarówno w życiu partyjnym, jak i w życiu całego narodu. Stąd stwierdzono, jak wielką wagę mają głosy krytyki obywateli, ich listy do redakcji i różnorodnych instancji państwowych. Jest to nasze państwo ludowe, bo ludowi służy i lud nim rządzi, coraz pełniej, coraz szerzej.

W tym siła tego państwa, w tym siła Partii.

O Polsce szlacheckiej sama rozkładająca się klasa szlachecka mówiła, że ta Polska nierządem stała. Rosnąca, młoda Polska Ludowa stoi rządem najszerszych mas narodu. W tym różnica, w tym prawda, w tym wielkość i w tym przyszłość.

JAN SZELAĞ

Delegatki z województwa stalinogrodzkiego w strojach regionalnych. Za nimi Wincenty Habraszka, jeden z przodujących górników kopalni „Wanda — Lech”.



WIEDZA POJEDZIE Z NIMI...

O swoich radościach i kłopotach, o planach i zamiarach — opowiedzieli reporterowi „Świata“ studenci ośmiu krajów, zdobywający wiedzę na warszawskich uczelniach. Za rok czy za kilka lat, po ukończeniu w Polsce stu-

diów, rozjadą się oni do swych krajów ojczystych. Ale więzy braterstwa, zadzierzgnięte między młodzieżą różnych ras i narodów, trwała, serdeczna przyjaźń młodych bojowników o postęp i pokój — pozostanie.

Fot. JAN KOSIDOWSKI



SRINIVASRAO KONDEPUDI — INDIE

— Już w bieżącym roku mam wrócić do Indii. Zdobyłem tu u was wiedzę fachową, jestem już inżynierem łączności, ale nie wiem, czy u nas w Indiach znajdę pracę. Jest nawet możliwe, że nie będę mógł pracować w swojej specjalności. Lata studiów, atmosfera waszego kraju — to było dla mnie jak jeden wielki oddech wolności i swobody. Każdy z moich polskich kolegów wybrał sobie specjalność według zamiłowań, a po skończeniu studiów będzie mógł pracować w dziedzinie, w której jest fachowcem. U nas jeszcze ciągle obcy przemysł i fabrykanci potrzebują nas jedynie — a i to nie zawsze — jako robotników, a nie inżynierów.



LI HAI-HUA — CHINY.

— Jestem w Polsce dopiero od sierpnia ubiegłego roku. U nas w Chinach dużo czytaliśmy i uczyliśmy się o waszym kraju. Wiedzieliśmy, jak bardzo ucierpiała Polska w czasie ostatniej wojny, a szczególnie jak potwornie została zniszczona Warszawa. Ze ściśniętym sercem dojeżdżaliśmy do Warszawy i pierwsze dni naszego pobytu ogarnęło nas najwyższe zdumienie. Trudno było sobie wyobrazić, że tak prędko odbudowujecie swoje ukochane miasto, które teraz i my kochamy. Uczymy się dopiero języka polskiego, rok nauki w Instytucie Radzieckim w Pekinie trochę nam to ułatwił. A polski — to dla nas bardzo trudny język. Tak jak dla was chiński...



LITWIN JONCZEW — BULGARIA.

— Bulgaria, to kraj rolniczy, przed wojną bardzo zacofany; przemysłu prawie nie miała. Teraz, po wyzwoleniu — budujemy przemysł od podstaw. Tak szybki rozwój jest możliwy dzięki pomocy krajów zaprzyjaźnionych. 75% ziemi obejmuje u nas spółdzielnie. Praca na roli jest zmechanizowana. W pierwszym okresie dostaliśmy ciągniki i kombajny z ZSRR, obecnie mamy już własną fabrykę ciągników im. Dymitrowa w Rusie; niedawno też zbudowano u nas pierwszy kombajn zbożowy. Gdy ukończę wydział samochodów i ciągników na Politechnice Warszawskiej i wrócę do kraju, będę potrzebny dla rosnącego u nas nowego przemysłu.



THEODORA VRUSHO — ALBANIA.

— Od dziecka marzyłam o dalekich podróżach i o nauce. Jest nas czworo rodzeństwa w domu: ciężko byłoby naszym rodzicom wychować nas i wykształcić, gdyby nie pomoc i opieka państwa. Nie sądziłam, że moje dziecięce marzenia spełnią się i będę mogła z dalekiego Beratu przyjechać do Polski i studiować geografii. W Albanii, która do niedawna nie miała w ogóle wyższych uczelni, a analfabetów było aż 89 procent, brak jest pracowników naukowych w różnych dziedzinach — geografów, geologów i innych. Dlatego też chciałabym po powrocie do kraju pracować naukowo w mojej specjalności.

PEPITO RIAU — HISZPANIA.

— Ojciec uzyskał prawo azylu w Polsce i cała nasza rodzina zamiast bledować w Afryce, gdzie nas deportowano, wiedzie życie normalnych ludzi pracy w wolnym kraju. Już w czasie pobytu w Polsce zostałem delegowany na festiwal młodzieży w Bukareszcie. To spotkanie młodzieży różnych krajów było wspaniałe. Spotkałem tam moich rodaków, mieszkających w Meksyku i w wielu innych krajach. Było to dla nas naprawdę bardzo wzruszające. Zdałismy sobie wtedy sprawę, że młodzież całego świata musi walczyć o pokój, wolność i sprawiedliwość społeczną.



SIE BEN-HUN — KOREA.

— Do Szkoły Głównej Służby Zagranicznej przyjechałem wprost z armii czynnej. Koledzy Polacy bardzo mi pomogli przyzwyczaić się do nowych warunków, szybko poznać język. Na pierwszym roku przy egzaminach, szczególnie z marksizmu czy ekonomii politycznej, było mi przykro, że znacznie więcej wiem i umiem, niż potrafię powiedzieć. Wraz z innymi kolegami z Korei staraliśmy się jak najlepiej uczyć, by tak jak na froncie — dążyć stale naprzód. Z kolegami z innych krajów, którzy mieszkają w tym samym co i my domu akademickim, czujemy się naprawdę jak jedna duża rodzina.

GYULA KUBICZEK — WĘGRY.

— Uf, ale było ciasno na sylwestrowym balu w Politechnice! Byłem tam w parę dni po moim przyjeździe do Polski. Znam język słowacki — z kolegami nie było mi się trudno porozumieć, ale jeżeli chodzi o egzaminy, to już gorzej. W tym roku chcę zdawać z takich przedmiotów, przy których nie trzeba... dużo mówić. Trochę mnie zażdroszcza, jak patrzę na uczących się po polsku starszych kolegów Węgrów. Sądzę, że i mnie nauka pójdzie szybko i za parę miesięcy opanuję język, szczególnie że koleżanki - Polki są bardzo miłe. Cieszę się, że u was właśnie studiuję architekturę; tu przecież na każdym kroku widzę, jak wiele wznosi się w Polsce pięknych budynków.



KALIOPI FELURI — GRECJA.

— Kończę w Polsce moje studia pedagogiczne. Interesuje się głównie bajką, jako środkiem wychowania dzieci w wieku przedszkolnym. Ze starych, klasycznych bajek trudno dziś korzystać — dla dzieci są mało zrozumiałe opowieści o królach czy babach Jagach. W mojej ojczyźnie wychowanie dzieci jest dotychczas bardzo zaniedbane, a o nowoczesnej pedagogice nie ma jeszcze nawet mowy. Jestem przekonana, że wiedzę, którą zdobywam teraz w waszym miłym i gościnnym kraju, będę mogła w przyszłości wykorzystać dla wychowania dzieci greckich w duchu postępu, umiłowania pracy i pokoju.



TALENT W SERCU czyli O LUD

Napisał: STANISŁAW WITOLD BALICKI



Ludwik Solski (z prawej) i Tadeusz Pawlikowski

W WARSZAWSKIM TEATRZE LETNIM (przy Ogródzie Saskim) jakieś dwadzieścia pięć lat temu grano komedię Adama Grzymalę Siedleckiego „Pani Ministrowa“. W akcie drugim orkiestra umieszczona za sceną wykonywała „hymn gibraltarski“, w którym ważną rolę, choć obliczoną tylko na kilka taktów, odgrywały kastaniety. Solskiemu nie spodobała się autentyczność tego instrumentu. Twierdził, że w teatrze wszelkie efekty należy wydobywać środkami teatralnymi. Zaządał dwóch kijów drewnianych i bił nimi w odpowiednim momencie o kant krzesła, osiągając w ten sposób doskonałą imitację kastanietów. Komedia szła kilkadziesiąt razy. Solski co dzień wpadał do teatru na kilka minut, by na tle orkiestry „grać kastaniety“.

Boy-Zeleński już sporo lat przed stułciem Ludwika Solskiego, w które wkroczyliśmy wraz z niespożytym, młodzieńczo twórczym jubileatem, określał go jako niezwykle fenomen przyrody. Jest fenomenem nie tylko w sensie biologicznym. Solski — to żywioł teatralny i arcywzór organizacji. Niewygasająca pasja i fenomenalna pracowitość. Wszechstronna znajomość rzemiosła i nieustanny niepokój, niedosyt. Setny rok życia połączył z osiemdziesięcioleciem pracy scenicznej, w tym z sześćdziesięcioleciem osiągnięć reżyserskich. Choć, prawdę powiedziawszy, mistrzem charakterystyki i transformista był niemal od urodzenia.

Kroniki rodzinne Sosnowskich (właściwe nazwisko Solskiego) głoszą, że jako kilkunastoletni wyrostek odwiedzał Ludwik biuro ojca w Niepołomicach pod Krakowem to jako interesant Żyd, to jako chłop, to znów jako mnich po kweście i tryumfował, bo ojciec nie domyślał się w interesantach syna. Wreszcie, nie chcąc być, zgodnie z zaleceniami ojca, ani aplikantem sądowym, ani handlowcem, zwił do krakowskiego teatru Stanisława Koźmiana i tu w sezonie 1875—1876 stawiał pierwsze sceniczne kroki pod pseudonimem Mancewicza.

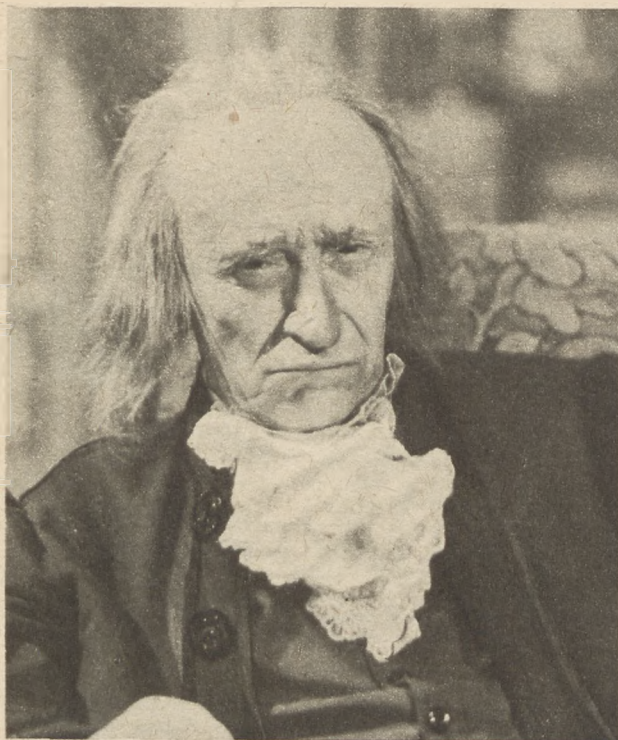
By się wyżyć, wygrać — przenosi się do teatryku „Eldorado“ na ul. Długiej w Warszawie, do Anastazego Trapszo (protoplasta Cwiklińskiej!), gdzie gra, śpiewa, tańczy na tych samych co i u Koźmiana warunkach — to znaczy bezpłatnie. Po krótkim czasie Trapszo zwolnił Sosnowskiego (teraz występował pod właściwym nazwiskiem) z powodu... „redukcji budżetu“. I odtąd rzemieślniczym dyszlem, promem, piechotą tkł się przyszyły Ludwik Solski po różnych prowincjonalnych dziurach o chłodzie, głodzie, ucząc się nieustannie, podpatrując życie i ludzi, wierząc w swoje nad nędzą i w teatr polski zwycięstwo.

Gdy musiał stawić się przed komisją poborową w b. Galicji, zjawił się przed obliczem ojca w balowych pantofelkach i w teatralnych sztylpach z lakierowanej ceraty, które pokrywały braki garderoby. A nie chcąc się przyznać, że to aktorska nędza tak go ubrała, błagował: „Taka teraz moda w Warszawie“.

W dziewiątym dziesiątku ubiegłego stulecia dramat omal nie stracił Solskiego na rzecz opery. Solski po wodewilach, operetkach próbuje w Poznaniu siły w operze; śpiewa z powodzeniem Jontka w „Halce“, występuje i w innych operach, ale rzuca jednak śpiew i Poznań, i od r. 1883 przetrzuca się do Koźmiana do Krakowa, gdzie pozostaje już przez lat siedemnaście bez przerwy. Pracuje u Gliksona, potem z Pawlikowskim, z Kotarbińskim, znów z Pawlikowskim we Lwowie, obejmuje dyrekcję teatru w Krakowie, by następnie dzielić swój talent i trud głównie między Warszawę i Kraków.

Lata pobytu w Krakowie i Lwowie, osiem lat dyrektury w Krakowie (1905—1913), to najbogatszy w twórczości artysty i najcenniejszy dla historii naszego teatru okres działalności Solskiego. Od ról charakterystyczno-komicznych przechodzi do dramatycznych, tragicznych. Przedłuża żywot sceniczny swych kreacji na wiele lat. Chudogęba z „Wieczoru Trzecni Króli“, Sędzia Dogberg z „Wiele hałasu o nic“ Szekspira, Don Basilio z „Wesela Figara“ Beaumarchais, Łatka z „Dożywocia“, Pan Jowialski, Dyndalski i Papkin z „Zemsty“ Fredry, Słaz z „Lilli Wenedy“ Słowackiego, molierowski Skąpiec żyją w naszej pamięci obok Horsztyńskiego czy Strażnika Złota Czaszka z tragedii Słowackiego, Judasza czy Ojca z „Niespodzianki“ (oba utwory Rostworowskiego), obok wstrząsającego Wiarusa z „Warszawianki“ Wyspiańskiego. W tzw. „garderobie Solskiego“ w teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, ozdobionej malowidłami i napisami najwybitniejszych artystów i twórców, wielbicieli talentu Solskiego — znalazł się tekst Heleny Modrzejewskiej: „Będziesz skazany na wieczny jubileusz za kolki, których dostałam od śmiechu, mój Dogbergu“. A obok autograf Gabriela Zapolskiej, tak dokumentującej silne wrażenie, jakie wywierała milcząca rola Wiarusa z „Warszawianki“: „Byłeś niemy, a mówiłeś tyle, bo twój talent w sercu się mieści“.

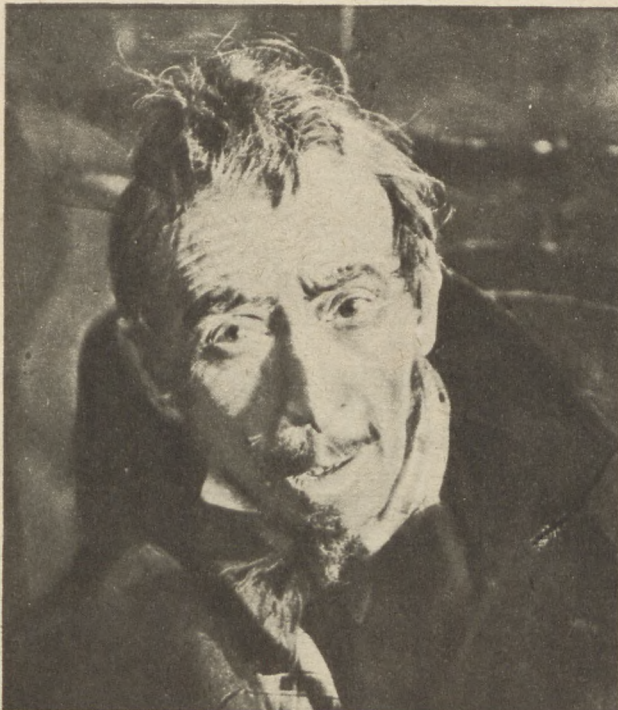
Talent w sercu. Stąd ludzki stosunek do przeżywanych postaci, wydobywanie z każdej roli prawdy o człowieku. Stąd, przy nadmiernym często bogactwie zewnętrznych rysów i szczegółów, zdecydowanie realistyczny obraz ludzi i czasów. Nie ma autora, którego by nie wprowadził na scenę, nie ma



Skąpiec w komedii Moliera



Filip II w „Don Carlosie“ Schillera



Łatka w „Dożywociu“ Fredry



Pan Jowialski w komedii Fredry



Za kulisami teatru im. J. Słowackiego w Krakowie

WIKU SOLSKIM

sztuki, której by nie potrafił wyreżyserować, nie ma roli, po którą by nie sięgał. Wystarczy sobie uświadomić wydarzenia ostatniego dziesięciolecia. Solski, przekroczywszy dziewięćdziesiątą, przypomina swoje dawne kreacje, ale i sięga po nowe role, dotąd nigdy przez niego nie grane, jak Ciaputkiewicz w „Grubych Rybach” Bałuckiego. Gdy teatr im. J. Słowackiego w r. 1946 wystawia pierwszą sztukę radziecką „Rosjan” Simonowa, Solski gra rolę starego żołnierza i wzbogacają o bardziej ludzkie i bohaterskie akcenty; nowo opracowanymi rolami ulepsza i przedłuża żywot sceniczny sztuk współczesnych Grzybowskiej czy Dyboskiego. Tak czynił zawsze. Zawsze najwyższą troską otaczał nową, współczesną mu, dziś już często uznaną za klasyczną dramaturgię: Wyspiański, Kisielewski, Zeromski, Staff...

Solski pierwszy u nas określił znaczenie nowoczesnego reżysera w teatrze jako odpowiedzialnego za układ i wyraz całości i kazał jego nazwisko umieszczać na afiszu. Sam zasłynął jako jeden z pierwszych mistrzów reżyserii scen zbiorowych. On to szablony dekoracji malowanych i zamawianych fabrycznie zamienił w scenografię plastyczną i realizując postulaty Wyspiańskiego, by każde dzieło znalazło odrębny dla siebie wyraz plastyczny, oddawał je do opracowania Fryczowi, Siedleckiemu, Włodzimierzowi Tetmajerowi, Mehofferowi, Spitzlarowi. On to pierwszy wprowadził do teatru, jako czynnik ważny i współdecydujący, kierownika literackiego, powierzając to stanowisko Grzymale Siedleckiemu i Lucjanowi Rydłowi. On to pierwszy...

Tak moglibyśmy mnożyć przykłady pierwszeństwa Solskiego, jego pionierskiej działalności.

I on to wreszcie pierwszy w dziejach teatru europejskiego święci nadchodzący jubileusz stulecia życia i osiemdziesięciolecia pracy scenicznej w pełni nie tylko zdrowia i sił fizycznych, ale w pełni twórczości scenicznej, dźwigając trud całospokielowej roli. On to pierwszy i jedyny w skali światowej aktor otrzymuje najwyższą godność naukową, jaką go ceni Uniwersytet Jagielloński w Krakowie: doktorat honoris causa.

Bo działalność Solskiego — to nie tylko jego osobiste osiągnięcia artystyczne, twórcze, ale i wielki trud organizowania życia teatralnego i literackiego jako współczynnika kultury, trud dźwigania go na coraz wyższy, nowoczesny poziom, to przede wszystkim potężna suma wiedzy o człowieku, wypowiedziana językiem jednej z najtrudniejszych sztuk, sztuką aktorstwa.



Ludwik Solski o sobie

Rozmowę przeprowadził JACEK FRÜHLING

Solidna, dobrze utrzymana kamienica przy ul. Tomaszowej w Krakowie. Ludwik Solski, który wkroczył w setny rok swego życia, mieszka tu na II piętrze. Jest tak krzepki, żywy i rześki, że windy nie chce używać. Z początku odżegnuje się od wywiadu.

Rozmowa toczy się więc na tematy ogólne. W pewnej chwili Solski dowiedział się, że jeden z naszych teatrów wznawia „Norę”, ożywia się jeszcze bardziej i powiada: — „Grała to za moich krakowskich czasów w drugiej połowie ub. stulecia Gabriela Zapolska. Po swoim pobycie u Antoine’a w Paryżu. Mam wrażenie, że była do tej roli trochę za masywna, bo Nora to przecie żywe srebro, trzpiotka, mająca w sobie coś z wiewiórki”.

Sytuacja wydaje się beznadziejna. Opuścić to mieszkanie bez słowa Solskiego dla niezliczonych rzeszy jego wielbicieli na obszarze całej Polski? Solski broni się jeszcze, ale coraz słabiej. Wreszcie żywo gestykulując wypowiada co następuje:

— Kraków, w którym stale mieszkam i od stycznia występuję dwa razy w tygodniu w „Grubych rybach”, to moja artystyczna kolebka. Tu na początku mojej 80-letniej pracy scenicznej stawiałem pierwsze kroki u Koźmiana, tu pracowałem pod Pawlikowskim, tu byłem przez lata dyrektorem. W r. 1913 przeniostem się do Warszawy, gdzie grałem, reżyserowałem „dyrektorowałem” do roku 1939. Przeżyłem

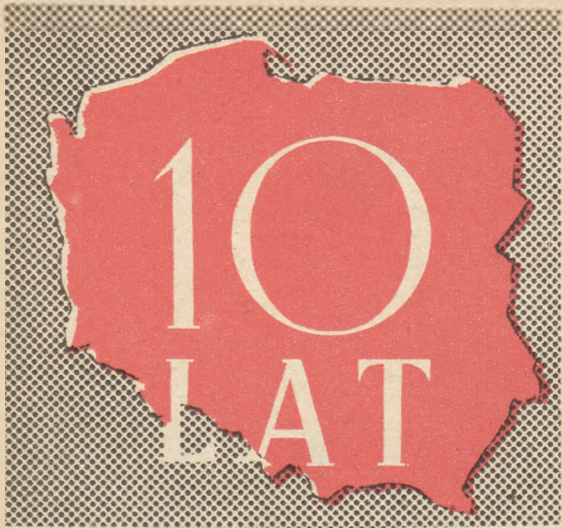
w Warszawie wybuch drugiej wojny światowej, przeżyłem powstanie warszawskie. Kocham bezgranicznie to wspaniałe bohaterskie miasto. Po wojnie grałem w nim, kiedy jeszcze leżało w gruzach. Występując wtedy na scenie Teatru Polskiego miałem wrażenie, że czuję rytm serc publiczności warszawskiej, dla której byłem skromnym symbolem niezniszczalności ducha polskiego, wytrwałości i uporu w wielkim dziele służenia sztuce. Chyba nigdy tak jak podczas owych występów warszawskich nie czulem się zrośnięty z moim krajem i z moim narodem. A równocześnie była we mnie duma i wdzięczność, że znaleźli się ludzie, którzy powzięli niezłomną decyzję odbudowania Warszawy piękniejszej jeszcze niż ta, którąśmy za młodu znali i kochali.

Wierzę, że w tej Warszawie rosnącej na wielką, wspaniałą metropolię, w tym mieście, w którym znowu bije żywo puls teatralny, będę miał jeszcze ze sceny okazję usłyszeć rutm serc mojej stolicy.

L. Solski



w oczekiwaniu na „wejście” w „Grubych rybach”



„Zamknięte bramy życia”. Trafnie zatytułował przedwojenny publicysta swój artykuł o sytuacji młodzieży w owym czasie. Przed tymi „zamkniętymi bramami” paczyły się i łamały kariery życiowe tysięcy młodych, którzy marzyli o jednej prostej rzeczy: o pracy. Dziś ma szeroko otwarte wrota do wiedzy i pracy cała nasza młodzież — nowe pokolenie budowniczych naszej rzeczywistości.

Nr 12

15—21 marca 1954

MŁODZIEŻ

przed zamkniętymi bramami życia

1933

Jak rokrocznie zaroili się już sale wykładowe, halle, kwestury i dziedzińce wyższych uczelni tłumem młodzieży. Rozpoczął się rok akademicki. Spadek liczby nowowstępujących jest widoczny. Zwłaszcza jaskrawo zarysowuje się na wydziałach humanistycznych, zresztą rozkłada się dość równomiernie na wszystkie uczelnie i wszystkie fakultety. Przy tym znowu obostrzono warunki przyjmowania kandydatów na wyższe studia...

Restrykcje te nie rozwiązują jednak zagadnienia. Trzeba bowiem stwierdzić, że sprawa młodzieży akademickiej, zwłaszcza los dyplomantów, staje się z rokiem każdym kwestią coraz bardziej skomplikowaną.

Brak szerszego oddechu, brak wszelkich perspektyw aż w nazbyt silnym stopniu odczuwa nasza młodzież... Ta zwłaszcza, która chce gwałtem wejść w życie, rozpocząć normalną pracę zawodową, budować własną, trwałą egzystencję, ugruntowywać byt, potęgę kraju, społeczeństwa... Niepowodzenie, gorzkie rozczarowanie, jakich doznaje zaraz na wstępie tych usiłowań, działają w sposób deprymujący... Reszty dokonywa ogólny nastrój niepewności, przynębienia, zgorzknienia, spowodowanego przewlekającym się wciąż kryzysem.

Nastroje te łatwo udzielają się młodzieży. Młodzież staje się krytyczna, pełna defetyzmu, z góry niechętnie nastawiona wobec każdej inicjatywy... Wśród starszych zwłaszcza jej roczników, wśród dyplomantów przede wszystkim, spośród których wielu już straciło długie miesiące na bezowocne poszukiwanie jakiegokolwiek pracy, ugruntowuje

się mniemanie, że nie obejdzie się bez zasadniczej, radykalnej reformy... Zaznacza się więc wzrost radykalizmu; nie ujawnionego najczęściej i nie manifestowanego, rzadko bardzo mającego swój wyraz w takiej czy innej przynależności organizacyjnej, lecz płynącego wciąż równą, stale potężniejszą falą wewnętrznego zakonspirowania.

Ludzie ci ciągle na coś czekają, wciąż nadśledzają niejaką... Właściwie zaś czekają, kiedy skończy się ich stan wiecznego zawieszenia, kiedy się jako tako ustabilizują... Ta chwila jakoś nie nadchodzi, bo nawet ci nieliczni, którzy coś znaleźli — najczęściej coś bardzo nieodpowiedniego — czują się mocno niepewni na tych swoich prowizorycznych stanowiskach. Nastrój tymczasowości ich nie opuszcza.

Są jednak i tacy, którzy wciąż, uporczywie i niezmordowanie szukają... Przychodzą im do głowy pomysły najfantastyczniejsze.

Znalazło się np. na Politechnice Warszawskiej kilku studentów, którzy otrzymawszy dyplomy, po wielu bezpłodnych próbach dostania posad w kraju — udali się gremialnie do poselstwa sowieckiego... Zadeklarowali się tam, jako sympatycy komunizmu i wyrazili chęć wyjazdu do Sowietów w charakterze „speców”.

Ludzie, którzy dotąd nic absolutnie z komunizmem nie mieli wspólnego, którzy byli doń raczej wrogo usposobieni i należeli do korporacji o wybitnie zachowawczym charakterze, lubili elegancko się ubrać, wesoło zabawić...

Chcieli jednak żyć! W ich zasadniczo praktycznych mózgach wydała się rzeczka niepojętą sytuacja, że właśnie z chwilą uzyskania upragnionego dyplomu rozpoczyna się najpoważniejsza trudność, otworzy się ponura perspektywa wegetowania na cudzym utrzymaniu...

Każdy z nich był dotąd, przez długie lata studiów w gimnazjum, a potem na wyższej uczelni, na utrzymaniu rodziców. Brał z domu, a rodzice dawali mu z nadzieją, że kiedy skończy studia, zacznie oddawać, pomagać rodzicom, prze-ważnie nie opływającym w dostatki...

Tymczasem tragedia!

Do typu najczęściej słyszanych utyskiwań, zarówno wśród młodzieży studiującej, jak i wśród rodziców i pracodawców nawet, należy zaliczyć narzekania na ogromną ilość produkowanych przez średnie i wyższe zakłady naukowe abiturientów i dyplomantów z tzw. wykształceniem ogólnym, filozoficznym lub wreszcie prawniczym. Ludzie ci nadają się niby do każdej pracy biurowej,

a w gruncie rzeczy nie kwalifikują się, bez specjalnego przygotowania, do żadnej...

Radykalizacja poglądów wśród zdeklasowanej młodzieży akademickiej znajduje jednak często swój wyraz i na zewnątrz. Wystarczy przejrzyć prasę akademicką wszelkich odcieni, by się przekonać, na jak daleko idące koncesje na rzecz tych nastrojów muszą się zdobywać organy najbardziej nawet zachowawczych ugrupowań akademickich.

„TYGODNIK ILUSTROWANY”, Nr 43, 1933 r.

1935

PIEŚŃ KRYZYSOWA O MATURZE

Znów jak co rok
kilka tysięcy młodych ludzi
w „dojrzałe życie” stawia pierwszy krok
na bibie maturalnej z flaszek wódki
i z kufli piwa ciągnąc niby smak

Znów jak co rok
szczęście w ich sercach się obudzi,
że poza nimi już sal szkolnych mrok
i nie potrzeba już więcej się trudzić —
że w wolność już zwycięski dali krok.

Znów jak co rok
„dojrzałe” życie ich ostudzi
i kiedyś w przyszłość obróciwszy wzrok
pomyśli: lepiej jednak było w budzie
choć monotonna godzin włókił się tok...

Lecz smutki w bok!
Słuchajcie jaśni, czarni, rudzi!
Zielonej trawki pić możecie sok —
do związku bezrobotnych trzeba ludzi
Więc wiwat kryzys!... Znów jak co rok.

WITEK

„WRÓBLE NA DACHU”, NR 25, 1935 r.

1936

Co ma począć Polak młody?

Rada Adwokacka przestrzega młodzieży, ażeby nie szła na studia prawnicze, bo i tak jest już w Polsce zbyt wielu adwokatów.

Izby Lekarskie ostrzegają przed fakultetem medycznym, bo lekarze umierają w Polsce z głodu.

Handel i przemysł nie radzą udawać się na studia tych obu gałęzi egzystencji, bo handel już dawno w Polsce diabli wzięli, a przemysł wzmąłada chwila.

Scena, malarstwo, muzyka itp. wolne zawody wywiesiły chorągwie z napisami: „Kto sięga tutaj po chleb powszedni, niech przyjmie szczerą radę: — Uciekać stąd!”

Rzemiosło wygania kijem adeptów swej sztuki, bo samo dogorywa.

Kim lub czym ma zostać zatem w obecnych czasach Polak młody?

Kwestię tę rozstrzygnął bez zarzutu p. Minister Skarbu, łącznie z Ubezpieczalnią i Komunalnymi Władzami.

Polak młody ma zostać podatnikiem, bo z tym fachem najbardziej mu w Polsce, jeżeli nie do kieszeni, to do twarży!

„MUCHA”, Nr 1, 1936 r.

Puste katedry

1929

Niemal w każdej dziedzinie specjalności mamy nadmiar pracowników. Tak by się przynajmniej zdawało. Wszystkie posady są zajęte. Wystarczy przeczytać w dziennikach rubrykę pt. „Zaofiarowane” lub „Poszukiwane”, by przekonać się, jak wielką jest ilość ludzi bez pracy. Mówią też o tem statystyki bezrobocia. A jednak istnieją stanowiska nie zajęte! Nie są to posady fantastyczne, niezwykle, wymagające ryzyka...

Wszystkie instytucje o charakterze badawczo-naukowym mają duże trudności w obsadzaniu stanowisk...

Pesymiści twierdzą, iż niezadługo i w naszych uniwersytetach wiele katedr będzie świeciło pustkami. Na drogę czystej nauki nie kwapią się iść nasi studenci. Na trzydziści tysięcy młodzieży studiującej na uniwersytetach tylko znikomy procent zdradza zainteresowanie intelektualne głębsze.

Zjawisko to tłumaczy się poniekąd ciężką sytuacją materialną i lichym zabezpieczeniem za pracę umysłową teoretyczną. Młodzież omija więc tego rodzaju fuchy, oddając się zawodowi, rokującemu nadzieję rychłej samodzielnności finansowej.

Szerszy ogół nie wie, iż na Uniwersytecie Warszawskim, stołecznym, na wydziale prawa nie ma ani jednego docenta. Fakultet ten jest ilościowo bardzo duży. Młodzież na zasadniczych wykładach ledwie może pomieścić się w salach. Rezultat: ani jednego docenta. Jest to zjawisko arcyprzykre. Wskazuje ono, że katedry prawa kiedyś opustoszeją. Któż zastąpi obecnych profesorów, gdy zabraknie następców?!

Polonistyka na Uniwersytecie Warszawskim, w centrum państwowym, gdzie kultywowanie nauk, związanych z naszą mową, powinno stać na czele i być ambicją całego narodu, nie posiada również dostatecznych docentur, a i o katedrach dałoby się wiele powiedzieć... Jaka jest przyczyna?

Młodzież stroni od nauki czystej.

Stypendia nasze są nikłe: 120 złotych miesięcznie wynosi wyróżniająca zapomoga. Jest to za mało, by żyć, i za dużo, by umrzeć. Stąd płyną te anomalie. Zbyt wielki procent jest naszych intelektualistów dotkniętych gruźlicą lub inną niemocą, pochodzącą ze złego odżywiania i lichych warunków higienicznych.

„ŚWIAT”, Nr 34, 1929 r.

1933

Luki w szkołach

Skończyły się ferie świąteczne młodzieży szkolnej. W wielu uczelniach znowu przereździły się zastępy uczniów. Najwięcej brakuje młodzieży ze wsi.

Nie choroby epidemiczne ani złe drogi przeszkodziły przyjazdowi do miasta tych młodych wieśniaków. Zatrzymała ich w domu czarna rozpacz rodziców. Nędza wsi sięga granic nieprawdopodobnych. Wielu brak już nie tylko na wpis szkolny i pensjonat, ale po prostu na bilet kolejowy.

W takich warunkach nie ma mowy o dalszym kształceniu dzieci. Zostawiono je w domu. Dzielą los tych, które już od ubiegłych wakacji letnich nie ruszają się ze wsi i czekają lepszych czasów.

Do licznych dramatów życiowych przybývają te najnowsze, kryzysowe. Oto bólów ból, kiedy już dzieci kształcić nie można, bo nie ma za co ich kształcić.

„ŚWIAT”, Nr 3, 1933 r.

1933

OGŁOSZENIA DROBNE

ZA samo utrzymanie na wsi zajmie się gospodarstwem. Książkowością absolwent WSH: Zgłoszenia I.K.C. Kraków dla „Kulturalnego A”. 8910g

STUDENT praw przyjmie jakiegokolwiek zajęcie w Krakowie. Zgłoszenia do I.K.C. Kraków, pod „B”. 8725k

JAKĄKOLWIEK pracę przyjmie maturzysta piszący na maszynie. Dobre świadczenia. Zgłoszenia: „Także korepetycje” I.K.C. Kraków. 9081g

SKROMNA maturzystka szuka posady biurowej lub bony, ewentualnie pomoc w nauce, za skromnym wynagrodzeniem. Zgłoszenia: I.K.C. Gdynia, „Skromna”. 98Gd

MŁODY człowiek po egzaminie dojrzałości szuka jakiegokolwiek pracy biurowej względnie fizycznej, która by mu dała możność skromnego utrzymania. Łask. zgłoszenia Wadowice, Malarczuk Józef, ul. Słowackiego 905. 2674k

„ILUSTROWANY KURIER
CODZIENNY”
1 kwietnia 1933 r.

W odpowiedzi na nasz apel

Przed kilkoma tygodniami ogłosiliśmy na łamach działu „10 lat” apel do Czytelników o przysyłanie materiałów, nadających się do wykorzystania w tym dziale. Z otrzymanych materiałów publikujemy dziś wycinek z „I.K.C.”, nadesłany przez Ob. St. G. z Krakowa. W liście do redakcji Ob. St. G. pisze: „Gdybym wiedział, że zamieścicie reportaż o matce 12 dzieci, nadesłałbym ten wycinek wcześniej, dla porównania. Ale myślę, że i teraz warto go wykorzystać”.

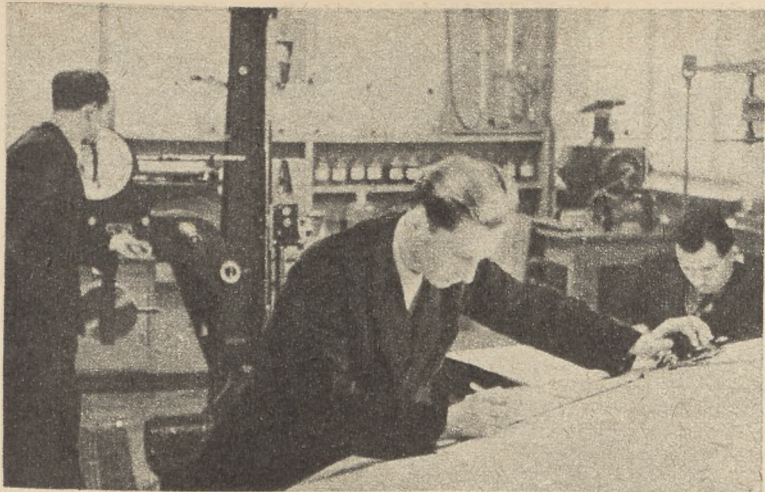
Otrzymany wycinek reprodukuje poniżej.

Piątek 28 kwietnia 1933

Matka dwanaściorga dzieci.



Na ulicach Warszawy żyje matka dwanaściorga dzieci. Słoty, matka 12-letnich dzieci, która, wobec choroby męża, zabrała 12 dzieci, poszukując po Warszawie pracy.



Jedna z pracowni Instytutu Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa w Warszawie

Inż. MAREK MICHAŁSKI

Wieś czeka na mechanizatorów

— Wszyscy doskonale wiemy o wspaniałym rozwoju naszego przemysłu w ciągu ostatnich kilku lat, ale równocześnie zdajemy sobie sprawę, że nasze rolnictwo nie nadąża za rozwojem przemysłu, nie nadąża za postępem. Jest rzeczą jasną, że trzeba to rolnictwo jak najbardziej zmechanizować. Będziemy mogli dokonać tej przemiany w rolnictwie, jeśli posiadać będziemy wykwalifikowanych mechanizatorów rolnictwa.

Otóż z górą dwa lata temu utworzono przy Politechnice Warszawskiej — Wydział Mechanizacji Rolnictwa, wydział, którego celem jest wykształcenie kadr ludzi wprowadzających do rolnictwa nowe zdobycze techniki.

Czy widzieliście kiedy snopowiązałkę w pracy? Zbudowana jest ona z kilkuset różnych części, z mechanizmów, niespotykanych w budowie innych maszyn.

Jeszcze bardziej złożony jest kombajn zbożowy — maszyna, która jest zarazem samochodem, żniwiarką i młocarnią. Budowanie i eksploatacja takich maszyn wymaga dużego zasobu wiedzy technicznej.

Studia na Wydziale Mechanizacji Rolnictwa, podobnie jak na innych wydziałach, są dwustopniowe: pierwszy stopień inżynierski — trwa cztery lata, drugi stopień — magisterski — trwa półtora roku. Po ukończeniu pierwszego stopnia studiów absolwent otrzymuje dyplom inżyniera mechanika, ze specjalizacją w dziedzinie mechanizacji rolnictwa. Po ukończeniu drugiego stopnia otrzymuje tytuł naukowy magistra.

Po ukończeniu studiów absolwent wydziału Mechanizacji Rolnictwa staje się wysoko kwalifikowanym fachowcem ze znajomością przedmiotów podstawowych i ogólnotechnicznych, jak matematyka, mechanika, wytrzymałość materiałów, metaloznawstwo, technologia drewna, silniki spalinowe, konstrukcja części maszyn — i przedmiotów kierunkowych, jak: maszyny rolnicze, ciągniki rolnicze, mechanizacja prac hodowlanych, zarządzania elektryczne w gospodarstwach rolnych, eksploatacja i naprawa maszyn rolniczych.

Absolwenci po ukończeniu I stopnia studiów mogą objąć stanowiska kierowników warsztatów naprawczych w Państwowych Ośrodkach Maszynowych, Państwowych Gospodarstwach Rolnych lub Technicznej Obsłudze Rolnictwa; poza tym wykładowców w technikach mechaniki rolnej, lub starszych (głównych) mechaników, czyli kierowników technicznych w POM lub Zespołach PGR.

Na kursie magisterskim studenci pogłębiają swe wiadomości

ci z eksploatacji, uczą się konstrukcji maszyn rolniczych, poznają metodę badań.

Na absolwentów kursu magisterskiego czekają Centralne Zarządy POM i TOR, czeka ich praca naukowo-badawcza w Instytucie Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa. Przed nimi są także perspektywy dalszego pogłębiania wiedzy — zdobywania stopnia kandydata nauk technicznych.

W żadnej innej dziedzinie techniki nie znajdzie młody, zdolny inżynier tylu możliwości do ulepszenia istniejących maszyn i skonstruowania nowych prototypów, jak właśnie w dziedzinie mechanizacji rolnictwa. Odczuwa się tu bowiem brak fachowców. Praca, niemalże pionierska, w tej do niedawna zupełnie zaniedbanej dziedzinie, może dać wiele zadowolenia, a jednocześnie stanowi olbrzymi wkład w dzieło rozwoju gospodarki narodowej.

Mgr MARIA SZUMSKA

Farmaceuci potrzebni są nie tylko w aptekach



Ćwiczenia nad oznaczaniem tłuszczu w Zakładzie Badania Środków Spożywczych

Utarło się mniemanie, że Wydział Farmaceutyczny szkoli li tylko pracowników aptek. W dobie wielkiego rozwoju nauk przyrodniczych Wydział Farmaceutyczny dąży do objęcia szerszego kręgu dyscyplin. Możliwość ta są znaczące dzięki temu, że dziś już w studiach farmaceutycznych mamy trzy kierunki: chemiczny, chemiczno - biologiczny i biologiczno - eksperymentalny. Większość absolwentów Wydziału Farmaceutycznego przechodzi do bezpośredniej pracy w Służbie Zdrowia, jako personel apteczny. Ten zakres pracy jest znany bardzo dobrze wszystkim obywatelom naszego kraju. Objemuje on kierowników aptek, magistrów sporządzających leki oraz inspektorów farmaceutycznych, których praca polega na kontroli aptek.

Apteka musi mieć stały dopływ leków, musi wiedzieć, czy są one pełnowartościowe, musi weryfikować, że będzie miała coraz doskonalsze środki. Podstawą tej wiary i pewności są laboratoria kontrolne, instytuty naukowe, przemysł farmaceutyczny. Na wszystkich tych odcinkach powinni być zatrudnieni farmaceuci. Mają oni ku temu pełne dane dzięki powiązaniu nauk chemicznych z medycznymi.

Laboratoria kontrolne czuwają nad jakością leku, jego czystością i ilościowym składem. Pracujący na tych

Od chwili założenia Uniwersytetu Jagiellońskiego w roku 1364, przez z górą 450 lat magnacko-szlachecka Polska stworzyła zaledwie 4 wyższe uczelnie.

W ciągu następnych 120 lat, wliczając w to okres międzywojenny, powstały w Polsce 23 uczelnie.

W okresie niespełna 10 lat od wyzwolenia Polska Ludowa stworzyła 66 nowych wyższych uczelni.

Korzystnym zmianom uległa rejonizacja szkół wyższych. W przedwojennej Polsce prawie połowa wyższych uczelni znajdowała się w Warszawie. Natomiast robotnicza Łódź, przemysłowy okręg śląski i Pomorze były ich całkowicie pozbawione.

Obecnie w Łodzi jest czynnych 10 wyższych uczelni. Śląsk ma ich 17. Szkoły wyższe powstały także na Pomorzu, w Lublinie oraz w województwie białostockim. Zgodnie z potrzebami rozwoju gospodarki i kultury narodowej wprowadzono w szkolnictwie wyższym szereg katedr o nowych specjalizacjach i kierunkach.

Wzrost ilości szkół wyższych, ich rozbudowa oraz ogromna pomoc materialna państwa dla kształcącej się młodzieży — oto warunki, w których możliwy był 3,5-krotny wzrost liczby studentów w stosunku do ogółu ludności.

Dzieci pochodzenia inteligentnego kształcą się dziś 3 razy więcej, niż w Polsce sanacyjnej. Młodzież pochodzenia robotniczego i chłopskiego stanowiła przed wojną 15,9% ogólnej liczby studentów, obecnie 59,1%. Wzrost znacząco udział kobiet w studiach wyższych. Na 100.000 kobiet przed wojną odbywało studia 60, obecnie 162.

Aby zapewnić młodzieży jak najlepsze warunki studiów, Państwo Ludowe przeznacza olbrzymie środki materialne na stypendia, domy studenckie, opiekę zdrowotną, salki, wczasy, stołówki, pomoce naukowe itp. Przed wojną na 43.000 studentów tylko 5,4% korzystało ze stypendiów państwowych. W roku 1953 na 134.000 studentów stypendia otrzymywało 73,8%, przy czym na uczelniach, gdzie kierunek studiów szczególnie ważny jest dla gospodarki narodowej, procent ten sięga 90-95. Dodać należy, że przed wojną stypendia były zwrotne.

Wielkie możliwości mają studenci, którzy pragną poświęcić się pracy naukowej. Przy poszczególnych katedrach oraz przy Instytutach Polskiej Akademii Nauk utworzono, nieznana u nas przed wojną, sieć aspirantur naukowych. Oprócz tego szeroko korzystają studenci z aspirantur zagranicznych — przede wszystkim w Związku Radzieckim, gdzie zapoznają się z najnowszymi osiągnięciami przodującej w świecie

placówkach muszą odznaczać się systematycznością i dokładnością.

Pięć istniejących w naszym kraju instytutów naukowych stwarza możliwości pracy dla absolwentów farmacji wyróżniających się zdolnościami do samodzielnej działalności badawczej. Podstawą w tej pracy będą przyswojone podczas studiów wiadomości: z farmakologii, tj. nauki o roślinach, które dzięki zawartości różnych substancji mają właściwości lecznicze; z farmakodynamiki — nauki o działaniu leku w zależności od budowy chemicznej; z chemii organicznej — wiedzy o związkach węgla; wreszcie chemii farmaceutycznej. Prace teoretyczne instytutów naukowych są ściśle powiązane z praktycznymi potrzebami.

Polski przemysł chemiczno-farmaceutyczny, rozwijający się stale i niezależnie od importu zagranicznego, powinien formować swe kadry z rzeszy farmaceutów. Przygotowaniem do pracy w przemyśle jest wykładana na czwartym roku farmacji technologia chemiczna środków leczniczych. Jest to nauka o chemicznej syntezie preparatów leczniczych oraz o surowcach i maszynach koniecznych do produkcji.

Pozornie niewiele wspólnego z farmacją mają laboratoria żywnościowe. A jednak znowu kierunek chemiczno - biologiczny studiów farmaceutycznych umożliwia pracę w tej dziedzinie. Naukowe metody badania żywności opracowywane są przez Państwowy Zakład Higieny, a szerokie, praktyczne zastosowanie znajdują w stacjach sanitarno-epidemiologicznych. Są to punkty usługowe kontroli żywności. Przygotowanie pracowników do pracy w tej specjalności jest zadaniem Zakładu Badania Środków Spożywczych wydziału farmaceutycznego Akademii Medycznej. Tutaj studenci IV roku farmacji w czasie wykładów i ćwiczeń zapoznają się z produkcją, dystrybucją, składem chemicznym, wartościami odżywczymi i magazynowaniem artykułów żywności. W ten sposób stają się studenci pełnowartościowymi pracownikami Służby Zdrowia; po ukończeniu studiów zatrudniani są w wojewódzkich i powiatowych stacjach sanitarno-epidemiologicznych, których sieć pokrywa cały kraj. Biorą oni czynny udział w profilaktycznej akcji ochrony zdrowia szerokich warstw ludności.

146.000 osób zdobywa wyższe wykształcenie

cie nauki radzieckiej. Wszyscy aspiranci otrzymują specjalne stypendia naukowe, które całkowicie zabezpieczają ich przed kłopotami materialnymi.

Szczególną troską rząd Polski Ludowej otoczył młodzież robotniczą i chłopską, której reżim sanacyjny nie pozwolił się kształcić, a która w swej pracy w przemyśle lub na roli wykazała do tego zdolności i ochotę. Dla tej właśnie młodzieży zostały utworzone specjalne 2-letnie Studia Przygotowawcze przy wyższych uczelniach. Na studia te napływa co-

rocznie około 3.000 młodzieży; prawie połowa z nich podejmuje później studia techniczne. Wiele spośród absolwentów Studiów Przygotowawczych jest już dziś inżynierami, lekarzami, naukowcami.

Nową rozszerzającą się w Polsce formą studiów są utworzone w roku 1950 tak zwane Studia Zaoczne, udostępniające naukę osobom pracującym. Już w bieżącym roku liczba słuchaczy na tych studiach przekroczyła 12.000.

Łącznie zdobywa dziś w Polsce wykształcenie wyższe 146.000 osób. (mk)

Prof. MARIA ŻEBROWSKA

Możliwości młodych psychologów



Przy pomocy takich ćwiczeń bada się stopień rozwoju dziecka

Psychologia — to nauka o życiu psychicznym i działaniu człowieka. Odkrywając prawa, które rządzą życiem psychicznym, psychologia pomaga nam nie tylko poznać i zrozumieć postępowanie człowieka, ale także kierować tym postępowaniem i oddziaływać na ludzi w celu zmniejszenia i przekształcenia ich słabości oraz cech ich charakteru. Dlatego znajomość psychologii ma bardzo duże znaczenie w każdej pracy, w której mamy do czynienia z ludźmi i w której oddziaływujemy na nich.

Absolwenci psychologii pracować mogą jako nauczyciele psychologii (a także pedagogiki oraz anatomii i fizjologii) w różnych zakładach kształcenia nauczycieli, w liceach dla przedшколанek, na kursach dla wychowawców i piastunek żłobkowych itp. Prowadzenie ćwiczeń i wykładów z psychologii ogólnej.

dziecięcej i wychowawczej w uniwersytetach i wyższych szkołach pedagogicznych, popularyzacja wiedzy psychologicznej wśród nauczycieli oraz szeroki rzesz rodziców i pracowników społecznych — to ważna dziedzina pracy psychologa.

Młodzi psychologowie poszukiwani są również jako instruktorzy, wizytatorzy, kierownicy prac programowych i metodycznych w żłobkach i przedszkolach, opracowujący psychologiczne podstawy wychowania najmłodszych dzieci, rodzaj pomocy naukowych (zabawek, obrazków, książeczek itp.) potrzebnych dla kierownika normalnym rozwojem dzieci.

Potrzebni są też psychologowie w przemyśle zabawekarskim, gdzie planują wraz z artystami i technikami coraz ładniejsze i lepsze pod względem wychowawczym zabawki dla dzieci w różnym wieku. Pracując w instytucjach wydawniczych, redakcyjnych czasopism dla dzieci i młodzieży, w radio — a więc tam, gdzie ważna jest dobra znajomość odbiorcy (czytelnika czy słuchacza), umiejętności badania jego potrzeb, upodobań i życzeń oraz metod skutecznego oddziaływania.

Doniosła jest rola psychologów w referatach szkoleniowych zakładów produkcyjnych — przy rozwiązywaniu niezmierznie ważnych dzisiaj zagadnień podnoszenia kwalifikacji robotników w toku pracy zawodowej. Istotną rolę mogą też odegrać w dziedzinie tzw. rehabilitacji inwalidów, tj. w przyrządzaniu i przyrządzaniu ich do nowych zawodów — oraz w poradnictwie leczenia wad wymowy, jak jękanie się, zacinanie itp., w ścisłym kontakcie z lekarzami.

Podstawą tych i wielu innych prac zawodowych psychologa jest oczywiście nowa materialistyczna teoria psychologiczna, której twórcze rozwijanie i budowanie czeka na młodych naukowców. Najzdolniejsi i najaktywniejsi absolwenci psychologii powoływani są do dalszej pracy naukowej i prowadzą badania eksperymentalne w różnych dziedzinach psychologii.

Inż. KAZIMIERZ DUCHNOWSKI

Trzeba nam specjalistów obróbki drewna

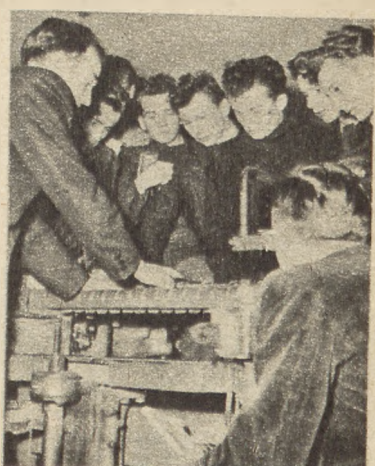
Zadania naszego przemysłu drzewnego nabierają szczególnego znaczenia w świetle wytycznych IX Plenum KC PZPR — przemysł drzewny musi podnieść jakość i ilość produkowanych wyrobów masowego użytku, zwłaszcza tych, które stanowią element polepszenia warunków bytowych ludzi pracy — mebli, stolarki budowlanej, galanterii drzewnej, papieru.

Zakład Obróbki i Obrabiarek Drewna jest jednym z zakładów Wydziału Technologii Drewna Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, w których studenci zdobywają wiadomości potrzebne każdemu inżynierowi technologii drewna w jego pracy zawodowej.

Po zaznajomieniu się z metodami obróbki studenci słuchają wykładów z zakresu obrabiarek — poznają budowę i działanie różnych maszyn służących do obróbki drewna — takich jak trakt, tasmówki, tarczówki, strugarki, frezarki; poznają budowę ich części i zespołów, uczą się zasad prawidłowej obsługi obrabiarek.

Wydział Technologii Drewna posiada takie katedry specjalne zawodowe, jak Zakład Mechanicznej Technologii Drewna, Chemicznej Technologii Drewna, Organizacji Projektowania Zakładów Przemysłu Drzewnego, Maszynoznawstwa Ogólnego, Mechaniki Technicznej.

Studia wyższe w zakresie technologii drewna są u nas nowością (wydział rozpoczął pracę w 1946 r.), ale budzą duże zainteresowanie wśród młodzieży wstępującej na wyższe uczelnie. Początkowe trudności organizacyjne wydziału ma już za sobą, systematycznie poprawiają się warunki studiów, największe kłopoty — brak skryptów i podręczników — powoli znikają. Coraz więcej literatury zawodowej radzieckiej i polskiej znajduje młodzież na półkach księgarskich; mamy już własne czasopismo zawodowe, studenci otrzymują bezpośrednią pomoc do nauki w postaci skryptów.



Studenci poznają jeden ze sposobów maszynowej obróbki drewna

Korzystając z coraz lepszych i liczniejszych pomocy naukowych studenci mogą coraz lepiej przygotowywać się do przyszłej pracy zawodowej.

Co roku opuszcza wydział Technologii Drewna grupa młodych inżynierów — idą na kierownicze stanowiska do produkcji, do placówek naukowo-badawczych, zasilają kadry szkolnictwa zawodowego. Czeka na nich przemysł drzewny — tartaki, fabryki sklejek, fabryki mebli, fabryki taboru kolejowego i samochodowego, stocznie, czekają zakłady produkujące różnorodne wyroby z drewna, fabryki celulozy i papieru, inne zakłady chemicznego przerobu drewna, czekają na nich również laboratoria naukowe i przemysłowe.

27.

STOIMY przed pomalowaną na szaro maszyną. Ogromne metalowe pudło z mnóstwem pokręteł, zegarów i dźwigni. Co w środku, nie widać, błacha ze wszystkich stron. Inżynier oprowadzający nas po fabryce mruga znacząco, jakby chciał powiedzieć: „I cóż wy na to?”. Domyślam się, że maszyna ważna, więc postukując palcem w metalowy kadłub kręcę z podziwem głową i mruczę z uznaniem: „No, no, coś podobnego...”. Oglądam się na towarzyszy, ale i oni tylko patrzą zmarszczywszy brwi. Nikt nie ma pojęcia ani o nazwie, ani o przeznaczeniu szarego kolosa. Z zakłopotania wybawia nas inżynier.

— Ta piękna maszyna — powiada — to automatyczna obrabiarka wyrabiająca pierścienie do łożysk kulowych. Do niedawna jedna jedyna fabryka w Ameryce produkowała tak skomplikowane obrabiarki. Dziś nie istnieje monopol w żadnej dziedzinie techniki... Po wojnie radzieckie fabryki obrabiarek opanowały produkcję 340 nowych typów do skrawania metali i ponad 1 000 typów obrabiarek specjalnych i agregatowych...

Idziemy dalej przyglądając się coraz to innym maszynom Kijowskiej Fabryki Automatycznych Obrabiarek. Zakłady zbudowano w czasie II Pięciolatki. Podczas wojny przeniesiono je za Ural w ramach wojennej ewakuacji obejmującej 1300 przedsiębiorstw i fabryk. Po wyzwoleniu Kijowa fabryka obrabiarek wróciła na stare miejsce, a raczej na ruiny zburzonych hal i budynków. Produkcja obecna przewyższa trzykrotnie produkcję z roku 1940, fabryka wyrabia 10 razy więcej typów obrabiarek, niż przed wojną.

— Przy takiej pracy powstaje nowa inteligencja robotnicza — mówi jeden z towarzyszy patrząc na skomplikowane czynności precyzyjnych obrabiarek.

Zaczyna się ożywiona rozmowa. Dzielimy się uwagami, które nasuwały się już wcześniej, w innych zwiedzanych przez nas zakładach.

Maszyny, to nie tylko zagadnienie techniczne. Ciągłe doskonalenie środków produkcji, zastępowanie starych maszyn nowymi, a nowych najnowszymi, zmierza między innymi do wyrugowania z pracy wysiłku fizycznego robotnika. W fabrykach radzieckich pracuje już 39 tak zwanych automatycznych

linii obrabiarek. Uruchomiono już pierwszą fabrykę, w której proces produkcyjny jest całkowicie zautomatyzowany. Fabryka ta wyrabia tłoki do silników samochodowych. Wydadność jej pięciokrotnie przewyższa wydajność fabryki zwykłej. Koszty produkcji są znacznie tańsze. Oszczędność sił ludzkich ogromna: załoga składa się z kilku fachowców.

Maszyna wyręcza człowieka w pracy, ale pracy mu nie odbiera. Pojęcie bezrobocia znikło z języka potocznego. Stąd inny stosunek do maszyny. Trochę o doskonaleniu maszyn nie kończy się na progu pracowni konstruktorskiej. Ruch racjonalizatorski obejmuje tysiące robotników. Człowiek obsługujący linię automatycznych obrabiarek nie staje się bezmyślnym automatem wydrwionym przez Chaplina w znanym jego filmie.

Każdy wie, że produkcja nie jest obliczona na zysk, lecz służy zaspokojeniu potrzeb obywateli. Nikogo nie przeraża fabryka zatrudniająca zaledwie kilku robotników. Nikt nie tęskni do starych form produkcji, do starych maszyn i licznej obsługi. Nikt nie boi się redukcji.

Pracownicy kijowskiej fabryki mówią nam z dumą, że Uralskie Zakłady ukończyły już budowę ósmej koparki kroczącej „Uralmasz”. W czerpaku koparki mieści się 14 metrów sześć ziemi. „Uralmasz” wykonuje w ciągu roku roboty ziemne, które pochłonęłyby pracę siedmiu tysięcy ludzi! Lecz oibrzymie budowlę — cały Związek Radziecki jest wielkim placem budowy — wymagają coraz potężniejszych maszyn. Konstruktorzy opracowali już plany nowej, jeszcze większej koparki. Czerpak będzie chwycił 20 metr sześć ziemi. Przeniesienie 35 ton na odległość 100 metrów potrwa jedna minuta, bo tyle czasu zajmie obrót wysięgnika koparki.

— Wielkie maszyny i zautomatyzowane fabryki przybliżają nas do komunizmu. Im lepsze wyprodukujemy obrabiarki, tym prędzej dojdziemy do sześciogodzinnego lub nawet krótszego dnia pracy. Maszyna to przyjaciel, nie wróg odbierający zarobek. Lubimy nasze maszyny i troszczymy się, by pracowały coraz sprawniej...

Wszystko to sprawy znane, ale zrozumiałe w pełni stają się dopiero w hali radzieckiej fabryki, bo tam z bliska widzi się nowego człowieka i nowoczesne maszyny służące jego dobru.

— Współzawodnictwo stoi u nas nieźle. Zajmujemy trzecie miejsce wśród fabryk całego Związku Radzieckiego. Może zainteresuje was również, że jedna trzecia produkcji fabryki przeznaczona jest dla krajów demokracji ludowej.

Przypominam sobie transporty maszyn spotkane koło

Terespola i w Brześciu. Kto wie, może były tam i kijowskie obrabiarki?

Wśród odprowadzających widzę pracownika z odznaką Bohatera Pracy Socjalistycznej. Na czerwonej wstążeczce złota gwiazda. Na gwieździe — sierp i młot. Takie barwy i kształt ma odznaka Bohatera Związku Radzieckiego, nadawana za męstwo na polu walki. Czerwone i złote, o, to właśnie to...

— A cóż tam znowu pisać?

Tytuł do tego, co chciałbym napisać...

28.

Cztery kijowskie dni ubite po brzegi wrażeniami. Dwie fabryki, dwa muzea, dwa razy w operze, wielogodzinna „biesiada” w Republikańskiej Radzie Zw. Zawodowych, wieczór w pałacu kultury zakładów „Bolszewik” i miliony prawie miasta nad uroczą rzeką. Wszystko tu ważne... I widok z Włodzimierskiej Górki na Padół, Dniepr, Zadnieprze (Dniepr siwy, a kra zupełnie jak na Wiśle) i Ogród Botaniczny, i tańce ludowe w klubie robotniczym, i smak czekolady z fabryki im. Marksa.

Pojechaliśmy tam rano. Ulice wysłizgane, siedem stopni mrozu. Szofer siwusięni jak gołąb. Za kierownicą spędził czterdzieści lat. Jedno pytanie rozwiązało język.

— A tu nowy dom, bo po starym piwnice tylko zostały, a tam bazar, a na nim produkty, jakie tylko zechcesz! Kurkę kupisz tłusciutką, rybę wybierzesz do smaku, a jak uparłeś się na barana, to i czosnek dostaniesz i słoninę, żeby baranka nadziać jak należy. Kartofle są i krupy różne. Cebula i jabłko... Cóż, ja nie gospodyni, żeby wam jednym tchem całą spiżarnię

wymienić. Ot, patrzcie, jaka idzie dziewczyna...! Walonki nieduże, a tu, w sobie, i owszem. A tam — targa kobieta, także niczego, choć już nie piętnastolatka. Nie martwcie się, kobiety, marynarz przed nami! On z Bałtyckiej Floty, bo na czapce biała wypustka, ale sam kijowianin na pewno, bo i wzrost kijowski i w barach szeroki. Nasz, kijowski, po twarzy już widzę. Ja stary, pytać się nie muszę. Ot, drodzy goście, u nas w Kijowie, na każdej tak ulicy. Dom ładny, a przed domem człowiek przechadza się niebrzydki. Kto chce z miasta wyjechać, wolna jego wola. Tamtędy na Żytomierz i dalej jak trzeba, a tu Wasylków, Biała Cerkiew, Humań i Odessa-mama! Przyjechaliśmy, drodzy goście, dziękuję wam za rozmowę.

— Ależ zagadał nas stary! Anim się obejrzał, już trzeba wysiadać...

Fabryka pachnie kakawą masą 120 ton wyrobów dziennie. Opisywać smak czekolady i wygląd karmelków byłoby przesadą, bośmy przecież z kraju „Wedla”. „Fuchsa”, „Piaseckiego”... Przed wojną — 6 000 ludzi, dziś pracuje tylko 1 900, choć produkcja wzrosła. Tyle zdziałały nowoczesne maszyny. To warto zapamiętać. No i czystość, wzorowa czystość! Piękna gazowa „biskwiciarnia” wywołuje zachwyt jednego z towarzyszy.

— Znam dobrze wszystkie fabryki cukrów, ale kijowska piekarnia to prawdziwe чудо.

Kobiety stanowią trzy czwarte załogi fabrycznej; 400 pracowników brało udział w wojnie, posiadają oni w sumie 900 bojowych odznaczeń. Plan roczny wykonano w 110%...

29.

Codziennie, gdy z hotelu wychodzimy do autokarów, zatrzymują nas przechodnie i wdają się w pogawędkę. Rozmowy krótkie i blache, ale opromienione jakimś ciepłem z serca. Niezmiennie zaczynają się od jednego pytania i na nim się kończą.

— A jak nasz Kijów? Podobna się, prawda? Piękny? A Dniepr? Ech, cudna to rzeka na wiosnę...! Rozlewa się szeroko, ledwo można dojrzeć brzegi. Woda podnosi się o dziesięć metrów! Przyjeżdżajcie, my tu ludzimi radzi. Ładny nasz Kijów, prawda?

— Lubia swoje miasto — odezwał się Figiel, gdyśmy wreszcie wsiadli. — Dobry tu naród i grzeczny.

Mało powiedzieć „lubia”. Z każdego zdania przebija zachęta: jedź z Bogiem, skoro musisz, ale powiedz tam w swoich stronach, że Kijów piękny, a Dniepr, to taka rzeka co przez serca mieszkańców przepływa.

Zachęty nie trzeba. Za granicą każdy drobiazg łatwo wpada w oko. Jedziemy autokarem, patrzymy na domy i pomniki, aż tu ktoś woła na cały głos:

— Patrzcie, patrzcie! Rudy kot przeskoczył płot i schował się w zielonym domu! O tam, tam...!

I rudy „Waska” utrwała się w pamięci. Opowiada się potem, że przez cały miesiąc widziało się jednego jedynego kota. Był rudy i mieszkał na któregoś z ulic łączących Kresczatik z Włodzimierską. Ja zaś dodaję: dobra to była wróżba, bo takiego kota mam u siebie w domu...

W autobusie wiozącym nas do pałacu kultury brak czeskiej przodownicy nazywanej przez wszystkich Aniczką. Ta niemłoda chłopka z okolic Brna posiada prawie tyleż odznaczeń za pracę, co nasz budowniczy Nowej Huty. Stanisław Figiel. Aniczka jest przodującą dołarką. Spytałem ją kiedyś, czy lubi swoją pracę. Opowiedziała, że nie zamieniłaby jej na żadną inną. Nic więc dziwnego, że ledwie przyjechaliśmy do Kijowa, od razu zaczęła molestować gospodarzy, by pokazali choć jeden ukraiński kołchoz. No i krowy, o które w mieście trudno. Pojechała. Wróciła podobno wstrząśnięta: przed wejściem do obory nałożono jej biały kitel i kazano zmienić buciki na miękkie pantofle.

30.

Już po wszystkim. Dociskam kolanem walizkę. Za oknem szumią silniki czekających samochodów, w głowie alkohol pożegnalnej kolacji. Figiel przed lustrem. Przymierza ukraińską koszulę i kręci niezdecydowanie głową.

— Przecież nie ubiorę się w nią w Krakowie. Za dużo haftu. Będzie miała żona bluzkę.

— Pakuj się, czas nam jechać.

— A tak... — Chowa upominek do teczki i powtarza — Dobrzy ludzie, ładne miasto.

Na dworcu liczna gromada odprowadzających. Kiwamy, wołamy, przyrzekamy sobie następne spotkania, kto wie, może na wiosnę, gdy Dniepr przybiera, a miasto otacza się świeżą zielenią... Dwie minuty przed północą pociąg rusza.

— Do widzenia, kijowianie! Do widzenia...!

— Co miasto, to miasto. No, a teraz partyjkę szachów i spać. Słuchajcie, możemy w waszym przedziale, bo u nas już grają?

— Mowy nie ma! — odpowiadamy twardo. Figiel przekręca dla pewności zasuwkę. Natarczywe stukania szachistów zbywamy uprzejmym życzeniem dobrej nocy.

Gdy budzę się, pociąg stoi. Jest wczesny ranek. Dzień zapowiada się pogodny. Z trudem odczytuję nazwę stacji: Szewczenko.

— Gdzie jesteście? — pyta Figiel.

— Ba, sam jestem w kłopotach... — Na pudełku „Kazbeków” rysuję wszystko, co zapamiętałem z mapy widzianej w mińskim muzeum. — Chyba gdzieś tu... — bez przekonania rysuję krzyżyk w połowie linii biegnącej wzdłuż Dniepru — wieczorem mamy być w Dniepropetrowsku, więc pewnie tu...

— Tyle widzę, że masz dobre papierosy. Najlepsze są z fabryk moskiewskich i leningradzkich... — mruknął Figiel zerkając na pudełko. Potem naciągnął koc na głowę.

Za stacją odstania się widok na dobrze nam znaną równinę. Dopiero po przekroczeniu rzeki krajobraz zmienia się raptownie. Pola pomarszczone, poprzecinane rozpadlinami i wąwozami. Zjawiają się dawno niewidziane pagórki. Wzrok ma na czym się zatrzymać, oczy

Piękna świątynia w okolicach Jałty, słynącej w ZSRR jako miejscowość kuracyjna





KIJÓW — MIEJSKI PARK NAD BRZEGIEM DNIERU

odpoczywają. Sporo drzew. Chaty stoją gęściej, osiedla bliżej siebie. Przez pewien czas rzeka biegnie wzdłuż toru. Brzegi urwiste, wyżłobione wiosennymi wodami. Pełno jarów i kotlinek, z których wynurzają się kryte strzechą dachy. Gdy rzeka rozstaje się ze szlakiem, powraca monotonna równina. Ziemia bieleje, iskrzy się w słońcu. Śniegu na polach coraz więcej.

Jedziemy ku sercu kozaczyzny. Za nami Biała Cerkiew, Kaniów, Czerkasy i Czehryń. Zbliżamy się do Dniepropetrowska. Tam, naprzeciw ujścia Samary, wznosił się kiedyś Kudak. A jeszcze dalej z biegiem Dniepru, na wysokości dzisiejszego Zaporozża, istniała dawniej Stara Sicz pobudowana na wyspie Chortycy. Z niej wyruszył Chmielnicki na pierwszą wojenną wyprawę pod Żółte Wody i pod Korsuń.

Przestrzeń, przestrzeń, powtarzamy sobie patrząc w zadumie na ciągnący się godzinami czarnoziem. Jedynym urozmaicheniem są szerokie grzędy krzewów. Rosną pasy leśne. Zabudowania już murowane. Ośrodki maszynowo-traktorowe coraz bogatsze w sprzęt. Maszyny zgrupowane w MS-ach wykonują 80% prac rolnych na Ukrainie. Dzień chyli się ku końcowi, a za oknem wciąż pola pszeniczne i buraczane.

Na krótko przed zapadnięciem zmierzchu krajobraz przybiera niesamowity wygląd. Na czystym niebie księżyc w pełni. Pola otulone mrokiem, świecą sinym, lodowatym odbłaskiem. A na zachodzie różowe i złociste smugi, gasnąca łuna znikającego słońca. Niebo ciemnieje szybko. Wczesna noc zaciera kontury zacięciem światła równina. Uczucie pustki staje się tak dotkliwie, że odchodzę od okna. Jeden z towarzyszy radzieckich kiwa ze zrozumieniem głową.

— Trzeba przyzwyczaić się, polubić, jak marynarz morze. Tu wielkie kołchozy posługują się radiem podczas prac w polu. Pola rozległe, zaprzeczyć nie można. Kiedyś był stęp, dziś pszenica i buraki cukrowe, bawełny coraz więcej... Dobrze pracują ludzie. Po wojnie 1000 pracowników rolnych otrzymało na Ukrainie tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej. Tak, tak, złota gwiazda na czerwonej wstążce...

31.

Kilka minut po szóstej wieczorem horyzont nowymi rozpalił się ogniami. Łuna rośnie, rozsiada się coraz szerzej. Widać pojedyncze światła. Przed nami Dniepropetrowsk.

Ledwie pociąg zatrzymał się na stacji, już sanitariusze z noszami biegną w stronę naszych wagonów. Co się stało, nikt nie wie. Pytam Kolejarza. Odpowiada bez zająknięcia:

— Zachorował jeden z Węgrów. Ten, co tak dobrze tańczył — zachorował w kijowskim klubie. Pewnie ślepa kiszka. Szpital czardasza w kijowskim klubie. Wszystko gotowe do operacji. Zostaje tłumaczka i przedstawiciel WCSPS. O, już pojechali...

Po raz piątą przekraczamy Dniepr, szeroki tu i groźny. Pociąg zatacza wielki łuk. Gwiazda polarna znikła z okna, jedziecie prosto na południe. Blisko północy zatrzymujemy się w Zaporozżu. Zapominam o siczowych wspominkach. Nawet z okna wagonu widać różowe dymy nad wielkimi piecami. Nie ma na pewno już śladu po słynnych z historii kozaczyzny porożach dnieprów. Rzeka płynie o kilkadziesiąt metrów wyżej spływając Dnieprogesem. Topi się w wielkich plecach ruda krzywoska. Spala się węgiel z Donbasu. Powstaje zaporoska stal i aluminium.

O dwieście kilometrów niżej buduje się nowa, Kachowska elektrownia wodna. Dla południowej Ukrainy sprawa to niezwykle pilna: brak wody niszczy plony na żyznych południowych stepach. Posucha, palące wiatry i „czarne burze” są stałą klęską. Ziemia ginie pozbawiona wilgoci. Gdy stanie elektrownia Kachowska można będzie uruchomić system nawadniający południowe obszary. Wody Dniepru przez Kanał południowy Ukrainy i Północny Krymski dotrą aż na Krym. Wtedy nekana spiekota ziemia odżyje. Gdyby była woda, byłoby tu wszystko... Więc będzie woda. Prace przygotowawcze już rozpoczęte.

Kanały, o których mi opowiadają, to oczywiście przyszłość, ale przyszłość w tym kraju szybko stała się teraźniejszością. Nikt więc nie wątpi, że będą kanały i raz na zawsze zniknie klęska suszy wyniszczająca urodzajną ziemię.

32.

Po 32 1/2 godzinach jazdy pociągiem czeka nas jeszcze czterogodzinna podróż samochodem... Tyle dowiadujemy się przy śniadaniu. Jesteśmy już na Krymie. Z rozczarowaniem patrzę na ziemię pod śniegiem. Spodziewałem się kwitnących kwiatów.

— Kto mówił o pomarańczach na Krymie? — pyta groźnie Kolejarz — No tak, teraz nikogo nie ma. Czekać, przypomnę sobie... Przydałyby się sanki, a nie apetyt na południowe owoce.

Nie odwracam głowy. Kolejarz milknie. Zdaje się, że naprawdę nie pamięta naszej rozmowy w Mińsku. Zabiera się do jedzenia wyrzekając nad kurą, że twarda jak drewno.

Chaty krymskie mogłyby z powodzeniem udawać domki krasnoludków, tak są małe i niskie. Okienka wielkości łufcika, ściany kolorowe, najczęściej zielone lub niebieskie. Dużo sadów i drzew. Na polach kopiste pagórki, podobno dawne kurhany tatarskie. Od stolicy Ukrainy, przez dawne Zaporozże, przyjechaliśmy do kraju, z którym związane są pierwsze wiadomości historyczne o kozakach. Ustawy kolonii genueskich istniejących w XIII wieku w Sudaku i Bałakławie, wymieniają kozaków jako wojskową asystę konsułów. Może więc kurhany nie tatarskie? Szczerze mówiąc złości mnie nie mróz i nie pagórki na polach. Mimo solennych postanowień przespiałem wąski pas międzymorza łączący Krym z lądem stałym. A wiem, że jeden z towarzyszących nam związkowców radzieckich był tam przed trzydziestu trzema laty. W 1920 roku, w listopadzie, gdy Frunze odbierał Krym i gromił Wrangla. Wtedy właśnie znalazł się rybak, znający doskonale „Zgniłe morze”... Ba, cóż gadać na ślepo?

— Przypatrzcie się w powrotnej drodze. Noce księżycowe, będzie widać dobrze... — Towarzysz Sikorski uśmiecha się dobrotliwie — opowiem, co zostało w pamięci.

Symferopol, stolica Krymu, już blisko. Góry, z daleka nie różniące się od pagórków, wyrosły aż pod niebo i bliższą w słońcu nie gorzej od wiecznych lodowców. Miasto jest białe. Trzeba mrużyć oczy, by dojrzeć zarysy budynków w jaskrawym blasku odbijającym się od ścian i śniegu. Dworzec nowy — odbijającym się od ścian i śniegu. Dworzec nowy — odbijającym się od ścian i śniegu. Dworzec nowy — odbijającym się od ścian i śniegu.

Jedziemy z chrzestem i chrobotem, bo wóz na łańcuchach. Na chodnikach sterty śniegu, przechodnie w kożuchach, w walonkach i czapkach opuszczonych na uszy.

— Ładne południe, całuję rączki... — mruczy Kolejarz — Niechże tam szofer włączy ogrzewanie. Lepiej dmuchać niż chuchać. A, to wyście mówili mi o tych pomarańczach!

— Były na dworcu... — odpowiadam ze skrucą.

Wozy wydostały się poza miasto i piękną autostradą zmierzają ku górcom. Podobno po tamtej stronie gór jest ciepło i z pewnością zobaczymy ostatnie tegoroczne róże. Na razie trzeba chuchać w szybę. Mijamy właśnie miejsce, gdzie już rozpoczęto prace poprzedzające właściwą budowę kanału Krymskiego.

GŁOSY O POLSCE

Denis Nowell Pritt

Denis Nowell Pritt, jeden z najbardziej znanych prawników brytyjskich, urodził się w roku 1887. Po ukończeniu studiów uniwersyteckich w Londynie, Niemczech, Szwajcarii i Hiszpanii poświęca się pracy zawodowej oraz walce o reformę przestarzałego prawa karnego, obowiązującego wciąż jeszcze w Anglii. W tym celu zakłada „Howard League for Penal Reform” — organizację walczącą o zmianę najbardziej przestarzałych norm prawa angielskiego.

D. N. Pritt jest autorem kilkunastu książek o tematyce politycznej oraz setek artykułów. Należy on do czołowych angielskich działaczy ruchu obrońców pokoju, jest przewodniczącym brytyjskiego Towarzystwa Wymiany Kulturalnej ze Związkiem Radzieckim oraz przewodniczącym światowej Federacji Prawników Demokratów.



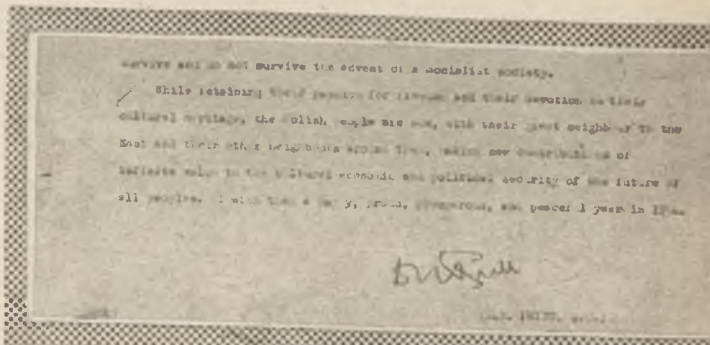
Rad jestem mogąc za pośrednictwem Waszego pisma przesłać narodowi polskiemu moje najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia z okazji 10-lecia istnienia wolnej i niepodległej Polski Ludowej.

Ci spośród nas, którzy mają w pamięci cierpienia, jakich doświadczał naród polski pod jarzmem hitlerowskiej tyranii, z podziwem i dumą patrzą na wielkie osiągnięcia, dokonane w przeciągu niewielu ubiegłych lat przez wasz naród, nie tylko w dziele odbudowy kraju, tak srodcie zniszczonego podczas wojny, lecz również na drodze stworzenia nowego ustroju, zapewniającego mu dobrobyt w dziedzinie przemysłu i rolnictwa.

Polska jest największym z krajów nowej, ludowej demokracji, jest również krajem o głębokich tradycjach narodowych i kulturalnych, posiadającym wybitne i doniosłe cechy.

Zachowując całe swe umiłowanie do wolności i przywiązanie do spuścizny kulturalnej, naród polski wraz ze swym wielkim sąsiadem na wschodzie oraz ze wszystkimi innymi narodami przyczynia się obecnie swymi osiągnięciami w sposób szczególnie doniosły do zapewnienia wszystkim narodom świata gospodarczego i politycznego bezpieczeństwa.

Zyczę narodowi polskiemu dostatniego, owianego pokojem i szczęśliwego roku, w którym obchodzi święto 10-lecia władzy ludowej.



W związku z przypadającą w rb. 10 rocznicą wyzwolenia Polski, redakcja „Świata” zwróciła się do czołowych działaczy politycznych, gospodarczych, naukowych i kulturalnych w różnych krajach — o wypowiedzenie się na temat roli i znaczenia wolnej i niepodległej Polski.

Nadchodzące wypowiedzi zamieszczamy kolejno w naszym piśmie.

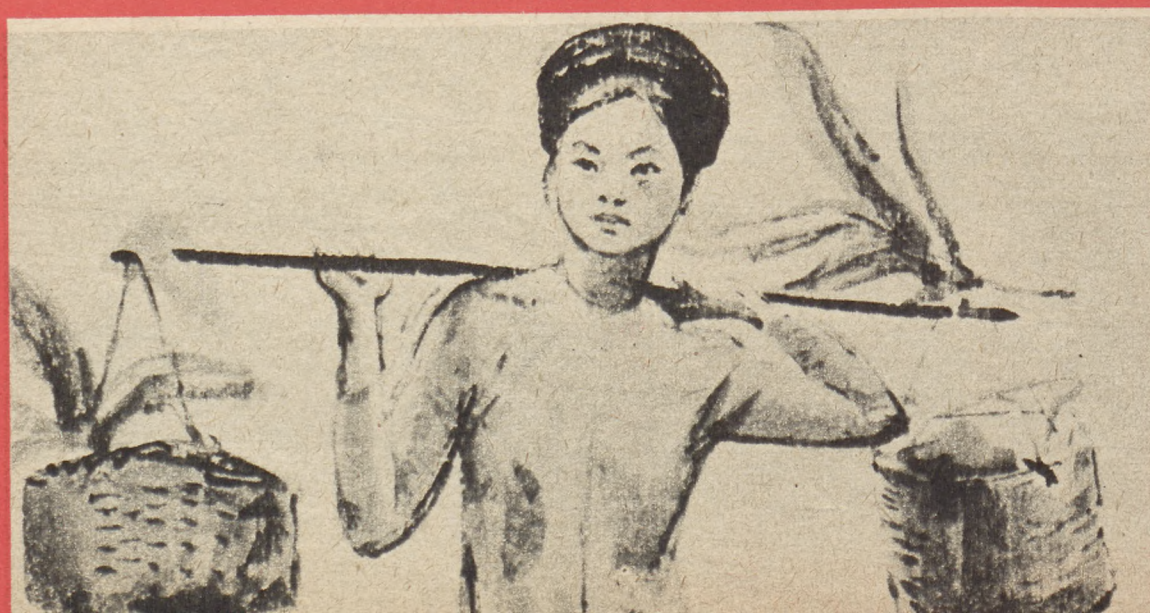
W poprzednich numerach „Świata” zabrali głos: Johannes Dieckmann — NRD, W. E. B. DuBois — USA, Anna Seghers — NRD, Claude Morgan — Francja, Hewlett Johnson — Anglia, Rajani Palme Dutt — Anglia, Jack Lindsay — Anglia, Hermann Abendroth — NRD, Paul Hogarth — Anglia, Stetson Kennedy — USA, Gerard Philipe — Francja, Wilhelm Eildermann — NRD.



Partyzantka. Była uderzająco ładna. Gdy wyszła za mąż, zaraz pierwszego dnia wybuchł spor, czy mąż ma prawo nosić jej karabin. Starzy zawyrokowali: „Może pożyczyć, żeby zdobyć drugi dla siebie. Dwa karabiny lepsze od jednego”



Miał 15 lat, kiedy się zgłosił do wojska. Był mały, chudy i zagłodzony. Żeby mieć przepiślową wagę, przywiązał sobie kamień do brzucha. Dzisiaj jest wzorowym żołnierzem, brał udział w dwu kampaniach



Była drobna, smukła i wiotka, a nosiła trzydzieści kilogramów ryżu po górskich ścieżkach, przebywała w ciągu nocy sześćdziesiąt kilometrów



Dzieci: ptasimi głosami śpiewały ucząc się czytać. „Kocham cię mamo za uprawione pole ryżowe, które nas żywi. Kocham cię za kury, których jest pełne podwórce. Kocham za trzcinę cukrową, wyższą od najwyższego człowieka. Będziemy syści, będziemy mocni. Uczymy się teraz pilnie, żeby bronić pokoju!”

Poza kregiem obradujących w mrocznym wnętrzu chaty staneły dziewczęta. Oliwny kaganek oświetlał ich zaskuchane twarze. Była to trzecia lekcja uświadamienia politycznego. Odpowiedź na pytanie — „dlaczego jesteście biedni?”



Oskarżała kłęczącego zdrajcę głosem chrypiącym przez łzy: „Dlaczego zdrajczyłeś? Zabijesz mnie, jak kota!”



KOMUNIKATY

z pola walki

WOJCIECH ŻUKROWSKI

KIEDY przeglądam szkice Kobzdeja, zdaje mi się, że po raz drugi wędruję drogami Wietnamu. Od pierwszej nocy w ciężarówce zamaskowanej nastrożonymi gałęziami, po ostatnie pożegnanie w Nowy Rok Kalendarzowy, gdy dzielił się ćwiartkami pomarańczy rozłożonymi na ręczniku, wprost na szosie, gdyż północ zastąpiła nas, jak zwykle, w marszu. Szoferzy i żołnierze otoczyli nas kregiem. Sanitariuszka śpiewała ptasim głosem, klaskaniem wybiłaliśmy rytm.

Pamiętam strofę pieśni: „Wielka woda sływa korytem Rzeki Czerwonej i Czarniej, a wody nie ubywa. Choć czas będzie mijał, nie opróżni naszych serc. Pokochaliśmy was. Byliście z nami w najtrudniejszych godzinach. Jakaż to radość spotkać was i nagle spostrzec, że się spotkało niewidzianego dotąd brata. Szliśmy razem długą drogą w ogniu, ale tylko ta droga prowadzi do wolności!”

Z każdym z tych szkiców jest związana jakaś historia. Tu nas ostrzeliwały samoloty, tam spotkaliśmy te piękne dziewczęta śpiące przy wygasłym ognisku. Zaczyna się to niekończące: pamiętasz, wiede? A chatka Prezydenta na górze między palmami... A ten przewoźnik przez Rzekę Przejrzytą...

„Profesor Aleksander Kobzdej w czasie naszego pobytu w Wietnamie wykonał ponad sto sześćdziesiąt szkiców”. Nie może mi to przejść przez gardło. Bo to nie było tak. Słowa objaśnień drętwieją i skostniały. Tam w dżungli nie było żadnego profesora, laureata państwowych nagród — był Olek, zwyczajny Olek, który podwijał nogawkę spodni i odrywał sobie „Kon wata”, skacząc piłąwkę, przyszaną pod kolanem.

Olek, który po całonocnej jeździe ciężarówką, prostując obolałe kark, z ustami spieczonymi od nikotyny, przysięgał, że dziś sobie odpocznie, że nie weźmie pedza do ręki. Szedł skulony, dygocąc w gęstej mgle porannej. Grube krople tłukły się po liściach. Auto maskowano między drzewami, a my niewyśpani, żłi jak osy, brnęliśmy korytem strumienia w poszukiwaniu grotu, gdzie można by trochę odpocząć. Za nami kroczyli kucharze z kołkami, w których płyły miedzianym głosem koguty, pozdrawiając swój ostatni dzień.

Uż raz Olek zaklinał się, że nikt go nie zmusi do malowania. A wystarczyło, żeby powiedziano: „Przyszły nosicielki... Wielecym nowe zebranie...” Łapał blok rysunkowy, blaszane pudełko z tuszami i ruszał pracować.

Wszystko tu było „tematem” i to niepowtarzalnym, krajobraz, domy, świątynie, ludzie. Każda scena utrwalona pedzlem stawała się swoistym dokumentem. Ci, co po nas przyjdą, będą już widzieli inny Wietnam. Rewolucja, głęboki przewrót, którego byliśmy świadkami, gwałtownie przemieniał naród. Mielśmy niezwykle szczęście uczestniczyć w historycznych chwilach, gdy burzono system feudalny, gdy lud sądził wyzwiskawcy i zdrajców.

W świetle setek pochodni oskarżony na kłęczkach słuchał wyroku. Nie mógł się wyprzeć zbrodni, jednak do ostatka bronił się chyttrze i kłuczył. Kłęczał przed tymi, których siły wykorzystywał przez lata, którymi gardził i pomijał. Ile krzywd, ile niezawinłego cierpienia... Tam, w tłumie, który płakał i zlorzezczył zdrajcę, cy — posiadaczowi, pojmovaliśmy całą nieuniknioną rewolucji, jedyną sprawiedliwą drogę wiodącą ku wyzwoleniu. W naszych oczach prostowały się karki, od pokoleń przywykłe do jarzma, budziły się świadomość, a karabin pozwalał bronić nie tylko ołczyzny, ale i odzyskanej godności człowieczej.

Olek Kobzdej malował gorączkowo. Chciał zarysować rozgrywającą się przed nami scenę, chciał zapamiętać zarzuty oskarżycieli... Opierał blok o plecy najbliższego żołnierza, natłowa lampą. Jakże u nas wieszają w oborach, rzucali nikły blask. Między udami ścisnął butelkę z tuszem. Kreslił pospiesznie, niecierpliwie.

Malował w najdziwniejszych warunkach. Życie społeczne Wietnamu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli.

Malował w najdziwniejszych warunkach. Życie społeczne Wietnamu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli.

Malował w najdziwniejszych warunkach. Życie społeczne Wietnamu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli.

Malował w najdziwniejszych warunkach. Życie społeczne Wietnamu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli.

Malował w najdziwniejszych warunkach. Życie społeczne Wietnamu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli.

Malował w najdziwniejszych warunkach. Życie społeczne Wietnamu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli.

Malował w najdziwniejszych warunkach. Życie społeczne Wietnamu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli.

Malował w najdziwniejszych warunkach. Życie społeczne Wietnamu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli.

Malował w najdziwniejszych warunkach. Życie społeczne Wietnamu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli.

Malował w najdziwniejszych warunkach. Życie społeczne Wietnamu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli.

Malował w najdziwniejszych warunkach. Życie społeczne Wietnamu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli.

Malował w najdziwniejszych warunkach. Życie społeczne Wietnamu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli. Malował namu toczy się nocą, w ukryciu, pod osłoną dżungli.



się fałdują, jak chłona parę z powietrza, jak występuje na nich nałotem zielonkawa pleśń. Za ścianą naszego domku z bambusowej plecionki bębnił monotonna deszcz. Akwarele w pudełkach rozmiękły, tusz się mazał, a papier opity wodą robił się ciężki jak z ołowiu.

Gdybyście wiedzieli ile taka teczka waży, jak z każdym kilometrem marszu ciężar jej rośnie. A jednak trudno z nią się rozstać, bo przecież to cały dorobek wietnamski, to kawał życia zamieniony na kreski.

Wieksość rysunków jest malowana nocą, w ciemności, przy małej lampce, lub w półmroku dżungli. Po raz pierwszy w pełnym, słonecznym świetle oglądaliśmy je w Chinach, po przekroczeniu granicy Wietnamu.

Dużo widzieliśmy, dużo przeżyliśmy. Jeszcze więcej zrozumielśmy. Byliśmy z walczącym narodem wietnamskim. Spaliśmy w chatkach ubogich chłopów, jedliśmy z jednej miski ryż, jak oni palczkami, towarzyszyliśmy im w walce z uciskiem i na froncie.

Dlatego, kiedy słyszę jak oglądając te karty mówicie: „dobre studium dziewczyny” albo „ładny pejzaż” — ogarnia mnie gniew. Chciałbym wołać: nie patrzcie na te rysunki tylko jak na dzieła sztuki, nie smakujcie linii i rozmieszczenia plam... To portret żywego człowieka! Ta dziewczyna o łagodnych rysach nazywa się Le minh Thao, ma siedemnaście lat, przez pięć lat była w partyzantce. Była więziona, bita... Zamordowano jej rodziców. Garstka młodzieży, którą dowodziła, stała się jej rodziną... Tamta wioska z ogromnym drzewem — keja da — to wieś, którą wyzwalała się od samowoli i ucisku wyzwiskawcy. Byliśmy tam, widzieliśmy te przeobrażenia na własne oczy.

Przypatrzenie się uważnie tym szkicom, żebyście poprzez nie dojrżeli to, czegośmy byli świadkami — naród wietnamski walczący o pokój, o wyzwolenie społeczne — naród na drogach zwycięstwa.

Stara „ding” — świątynia ducha opiekującego wioski — odbijała się w wodach ryżowego pola. Duch nie obronił swojej siedziby, dwa pociski z działka przebiły dach

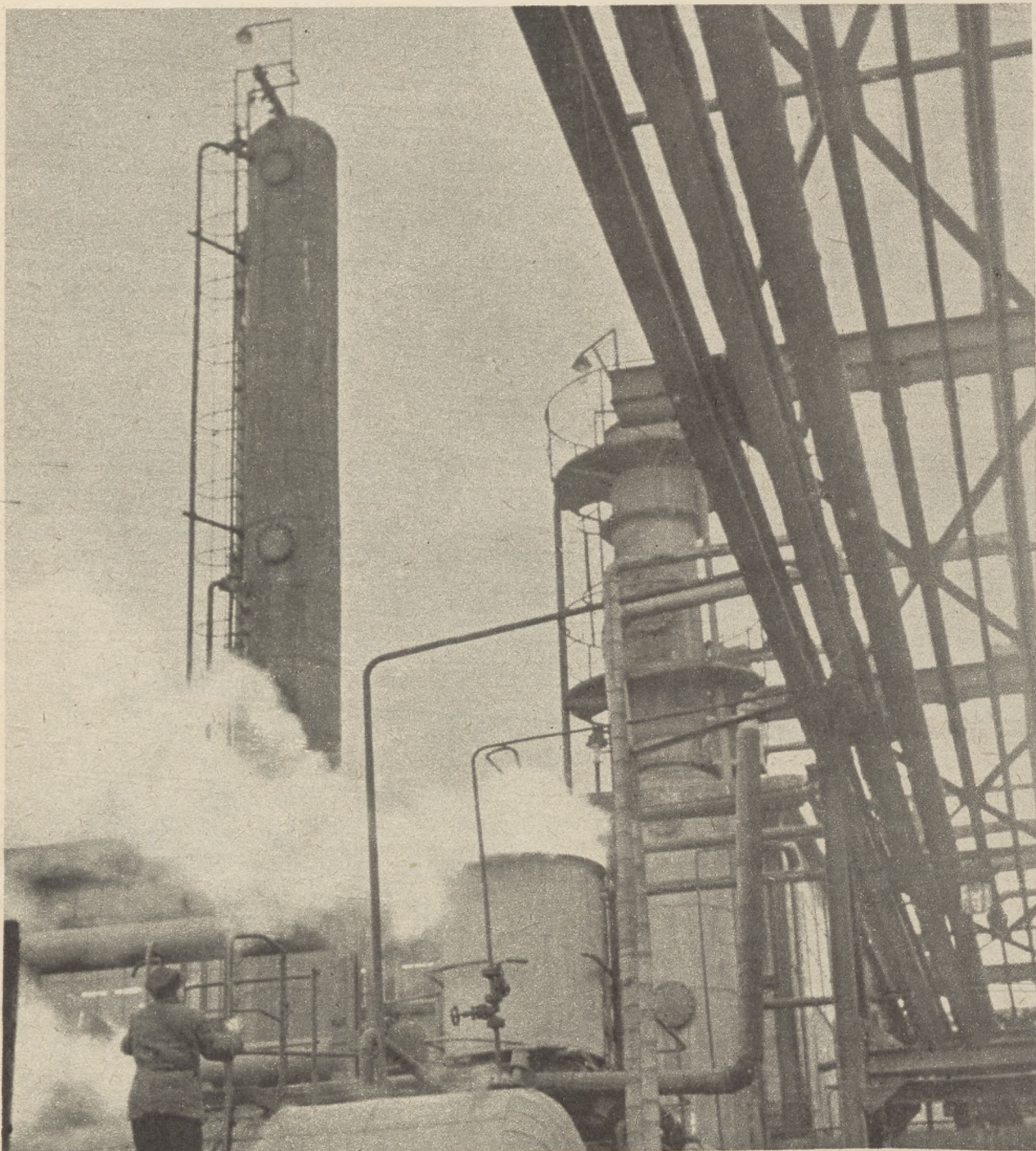
Naradzali się, gdzie należy ustawić strażę, ażeby żadna niepodziłka nie mogła zakiecić wiecu — sądu nad obszarzamiem - zdrajcą



BENZYNNA

N A P I S A Ł:
JERZY JANICKI

4)



Fot. W. Prażuch

Rozdział V PALIWO

1.

SZAMSZURENKOW MAJSTRUJE KOLASKĘ

PO destylacji nafty zostawała benzyna. To be-
zużyteczny i niebezpieczny produkt. Ktoś zau-
ważył, że można nią wywabić na przykład
plamę na spodniach. Doprawdy, mały pożytek!
Zatem benzynę wlewa się do dołów i spala.
Okrety zdążające do portów Indii Holender-
skich poznają bliskość celu swego rejsu po ogromnych,
czarnych chmurach, przetaczających się nad oceanem.
„Załoga do kotwici!“. To wiatr gonili z wybrzeża dym
ze spalanej benzyny.

Ale oto zjawia się na świecie dziwny stwór: kolasa
bez koni. Co to jest? Świat jest zdumiony i zatyka z ob-
rzydzeniem nos. Ta kolasa jeździ wprawdzie bez koni,
za to śmierdzi za cały tabun.

W roku 1752 żył chłop rosyjski nazwiskiem Szam-
szurenkow. O tym Szamszurenkowie powiadali, że ma
rozum, jak, nie przymierzając, sam gubernator. Kiedy
wlaź do kuźni, całymi godzinami stamtąd nie wycho-
dził. A kiedy się raz pokazał to, tfu! — strach powie-
dzieć przed nocą — nie szedł, a jechał. Kolaska, trzy
kółka, a w środku siedzi Szamszurenkow i kręci noga-
mi. Słowem — jedzie!

Kulibin zaś był mechanikiem. W swoim warsztacie
dowiedział się o kolasce Szamszurenkowa. Zmajstro-
wał skrzynkę biegów i koło zamachowe.

Ale silnika wciąż nie było.

Więc w roku 1885 oficer floty rosyjskiej, Kotowicz,
skonstruował silnik na paliwo płynne. Po prostu —
wlewasz paliwo, a silnik sam się rusza, 8 cylindrów,
moc — 80 KM.

Ale rząd carski nie zaakceptował tego wynalazku.
Więc w dwa lata później Gotlieb Daimler opatentował
swoją wyprawę: silnik na paliwo płynne. Moc — 1/2
konia mechanicznego.

Francuzi Panhard i Levassor poznają się na tym
silniku. Po prostu wkładają go do czterokołowego po-
jazdu. „Panhard-Levassor“ — samochód! „Benz“ —
samochód! Po prostu wozy bez koni! XIX wiek tuż
przed zgonem wykazał istic młodzieńczą energię. Oto
wynalazek epoki! Czy może być coś bardziej wstrząsa-
jącego? S a m o c h ó d!!

Szlagier nad szlagiery. Błogosławieni redaktorzy tego
czasu! Oto mają sensację na całą kolumnę: automobil
pana Panhard przebył odległość między Paryżem a
Marsylią w ciągu 67 godzin!

Emil Zola zdecydował się wsiąść do automobilu.
Trzęsło straszliwie, ale Zola dojechał do Wersalu. Mon-
sieur Levassor nazywa Zolę „najświatlejszym ze współ-
czesnych“. Słowem powtarza to, co się należy bez prze-
jażdżki.

Rok 1894. Pod Paryżem samochody nie tylko jeżdżą;
one ścigają się. Po prostu nikt jeszcze nie przeżył ta-
kiej emocji. Jedna z pań dostała ataku serca. Rejentowi
z prowincji w tłoku skradziono portfel. Krzyk tłumy
zagłuszył motory. Doprawdy od czasu Dreyfusa nie było
podobnych emocji. Zwyciężyło auto „Peugeot“. Dru-
gim był samochód „Panhard“.

W następnych wyścigach wygrywa Barney Oldfield.
Paryżanie biją brawo, ale kręcą nosami: dlaczego

pierwszy nie przybył „Peugeot“? Oldfield wygrał na
aucie Henry'ego Forda.

No, skoro tak sprawy stoją, skoro już i wyścigi, to —
do roboty, panowie!

2

KREKING

Świat jeży się wiertniczymi szybami. Na Sumatrze,
w Wenezueli, Indiach Holenderskich świdry o diamen-
towym ostrzu dziurawią ziemię. Rodzący się przemysł
woła o naftę jak spragniony o wodę.

Rok przed wyścigami paryskimi istniały w ogóle...
4 zarejestrowane samochody.

W 1900 — 8 tysięcy.

W 1906 — 100 tysięcy.

W 1913 — milion!

Milion samochodów! Nafciarze łapią się za głowę:
benzyny, benzyny. Mrą przy szybach Arabowie, padają
Indianie, giną Meksykańczycy. Wojna w Grand Chaco.
Wojna w Peru. Wojna w Boliwii. To Deterding walczy
z Rockefellerem o nowe złoża. Teraz trzeba im nie-
zmiernie dużo nafty. Wszak — benzyna! Wszak w
1913 milion samochodów!

Jak tu wytwarzać benzynę jeszcze lżejszą, a więc
tańszą? Wtedy wyciąga się z archiwum Biura Patent-
owego pewien zarejestrowany pomysł. Dokument po-
chodzi z roku 1890 i nosi numer porządkowy — 12.926.

Inżynier W. G. Szachow zarejestrował pod tym nu-
merem swoją metodę „krekingu“. To metoda rektyfi-
kacji benzyny z nafty. Ciężkie frakcje nafty rozłącza
się z wielkich molekuł na mniejsze przy temperaturze
400 stopni pod ciśnieniem od 25 do 50 atmosfer.

Kreking! Kreking! Oto super-nowoczesna benzyna!

3.

BLASZANI ŻOŁNIERZE

We wszystkich miastach i miasteczkach stoją czer-
wone benzynowe stacje. Blaszana figurka, wewnątrz —
szklane płuca. Wystarczy poruszać korbą — płuca na-
pełnią się benzyną. Potem nacisnąć guzik — gumowym
węzem benzyna spływa do baków. Na górze — okrągły
łeb. W nim nie ma oczu — tam tylko widnieje firma.

Pod czerwoną figurkę zajeżdżają auta: Buick, Ford,
Mercedes, Citroen i spacerowy Steyer 220.

Pod jedną figurką stoi pan Cremieux, pod drugą —
Prahł, pod trzecią — Pavlicek, pod czwartą — Petter-
son, pod piątą — Marinescu, pod szóstą — Smith, pod
siódmą po prostu — pan Masłowski.

Wszystko to jest nieważne; to nie oni pobierają mie-
dziaki za litr benzyny. Oni tylko liczą: franki, marki,
korony, leje, floreny, liry i złotych. Wszystko to da
się łatwo zamienić. Część na dolary dla mr Rockefel-
lera, część na funty — dla sir Deterdinga.

We wszystkich miastach i miasteczkach stoją ich
blaszani żołnierze. To cała armia. Bez krwi, po co tu
krew, skoro cenniejsza jest benzyna. Tu nie ma prze-
sady, to już, rzecz można, weszło do historii: w 1914
roku Clemenceau wołał w izbie: „Kropla nafty warta
jest kropli krwi!“ Blaszani żołnierze mają tylko głowy.
Okrągłe białe łby. Na nich napisy: HAMIG, Polmin,
Vaduz, Aramco, Vacuum, Merion. To kwestia umowna.

Na łbach są również obrazki: zeusowy grom, złota
pszczołka, tarcza słońca, trąbka a la puzon, albo po
prostu — kozioł ze śpiczastą brodą. Powiadają, że Bóg
jest pod wszema postaciami. Oto przykład prawdziwej
wielkości mister Rockefellera i sir Deterdinga. Są pod
postacią gromu, trąbki, a nawet figlarnego koziołka!

Blaszani żołnierze dziarsko stoją na straży i sikają
benzyną. Już wprost nie mają sił.

W roku 1921 — 10 milionów samochodów.

4.

WĘGIEL PSUJE HUMOR DWÓM DŻENTELMENOM

Zli ludzie zaczynają rozsiewać pogłoski, że naftę
można zastąpić czym innym. Na przykład — węglem.
Zli ludzie są wszędzie, tak już jest urządzone. Jeżeli
dokucza im wątrobą, powinni iść do internisty, a nie
straszyć sir Deterdinga. Benzyna z węgla?

Zupełna bzdura! Rockefeller w skupieniu słucha
wzniosłych tonów rapsodii Liszta. Deterding z rozkoszą
holendruje na ślizgawce. Węgiel to jest węgiel, co to
ma wspólnego z naftą?

Ale to wcale nie plotki. Okazuje się: w 1908 roku
uczony rosyjski Orłow połączył w swym laboratorium
tlenek węgla z wodorem. Substancja, którą otrzymał
zawierała te same cząsteczki, co ropa. Ale o przemysł-
owym zastosowaniu tego uwodorniania nie ma mowy.

No, chwalić Pana. Deterding ślizga się, Rockefeller
pieści ucho melodią. Benzyna w probówce to jeszcze
nie konkurencja. Można tym poruszać blaszane autka
dla dzieci. Swoją drogą — ten Orłow. Rosjanin? A mo-
że warto zastanowić się nad tym? Najprzód benzynę
otrzymywano metodą katalistyczną; to według wzoru
Rosjanina Gustawsona. Potem — kreking. Ten znów
wymyślił Szachow. Nie ulega wątpliwości — ci ludzie
znają się na rzeczy. Czyżby ten trzeci...? jakże — O:-

MY CHCEMY TAKŻE!

JAKO literat jestem za najczęstszym odświeżaniem języka ojczystego. Proponuję więc, aby stare aptekarskie powiedzenie: „znika jak kamfora” — zastąpić bardziej aktualnym: „znika jak „Dookoła Świata” z kiosków gazetowych”. Bo o poczytności nowego ilustrowanego magazynu dla młodzieży krąży już legenda. Cały nakład pisma znika natychmiast po wydaniu. Niezaspokojeni klienci z nadmiaru zainteresowania czytelniczego demolują kioski. Bezustanne pytania o „Dookoła Świata” doprowadzają kioskarzy do rozstroju nerwów. Można zaryzykować twierdzenie, że od czasu wynalezienia druku przez Gutenberga, jeszcze żadne pismo w Polsce nie cieszyło się takim powodzeniem.

Ale poczytny magazyn ma także nieprzejeźdźnych przeciwników, którzy używają sobie na nim ile wlezie. Surowi krytycy „Dookoła Świata” głoszą, że pismo gra na najniższych instynktach czytelnika, że poczytność jego została okupiona znacznymi ustępstwami z zakresu pedagogiki i dydaktyki, że krótko mówiąc, nie jest to „Dookoła Świata”, lecz... „Głos bikiniarza”.

Te szeroko rozgłaszane opinie w zestawieniu z zadziwiającą poczytnością pisma wśród całej młodzieży — zachęciły mnie do zajęcia się tą sprawą. Dlatego — wykorzystując kumoterskie stosunki w różnych redakcjach — zdobyłem wreszcie pełny komplet „Dookoła Świata” i przeczytałem go od pierwszej do ostatniej okładki. Po dokonaniu tego wyczynu, ogłaszam wszem wobec co następuje:

1) Nieprawdą jest, jakoby magazyn ilustrowany „Dookoła Świata” był „Głosem bikiniarza” i grał na najniższych instynktach czytelników.

2) Natomiast prawdą jest, że „Dookoła Świata” — po przełamaniu w pierwszych numerach niezdrowych



Rys. A. Perzyk

skłonności do szmiry — obecnie z numeru na numer staje się lepszym i bardziej interesującym pismem dla młodzieży.

Sekret olbrzymiej poczytności pisma jest prosty. Redakcja „Dookoła Świata” zna rzeczywiście zainteresowania młodzieży i stara się ją zaspokajać w sposób najbardziej atrakcyjny. W piśmie jest dużo przegód, podróży, sportu, ciekawych wiadomości z kraju i ze świata, a publicystyka pisma nie nuży, gdyż jest przystosowana do potrzeb młodego czytelnika. Natomiast jeszcze ciągle za mało jest w „Dookoła Świata” ciekawostek popularno-naukowych, satyry, humoru oraz pouczających rozrywek umysłowych i konkursów. Ale można mieć nadzieję, że wszystko to przyjdzie z czasem, gdyż, jak już wspomniałem, magazyn wzbogaca się z numeru na numer.

Surowych krytyków pisma mogę uspokoić, że — chociaż czytałem „Dookoła Świata” przez czarne okulary — nie wykryłem tam żadnych poważniejszych uchybień z zakresu dydaktyki i pedagogiki. Przeciwnie: wydaje mi się, że „Dookoła Świata” jest bardziej wychowawcze od swego poprzednika — tygodnika „Pokolenie” — chociażby z tego względu, że... jest czytane.

Sukces czytelnicy „Dookoła Świata” powinien dać wiele do myślenia redakcjom niektórych dzienników i tygodników dla dorosłych. My, dorośli, także chcielibyśmy przewracać kioski z nadmiaru zainteresowania czytelniczego.

P. S. W związku z moim felietonem o filmie młodzieżowym, jeden z Czytelników słusznie mi podszepnął, że do przeróbki na film dla młodzieży nadaje się powieść Igora Neverlego „Archipelag ludzi odzyskanych”. Przekazuję tę propozycję zainteresowanym czynnikom.



Zakłady Wielkiej Syntezy Chemicznej w Dworach pod Oświęcimiem należą do rzędu najnowocześniejszych. Dzięki scentralizowaniu urządzeń cały skomplikowany proces produkcji może kontrolować jeden tylko człowiek

low...?! Ale pierwsi dwaj — nadzwyczaj porządni ludzie: zajmowali się naftą. Ten zaś zamierza ją zastąpić węglem. Cudotwórca? Ach, w końcu ile zamieszania swego czasu narobili alchemicy i co z tego wszystkiego wyszło. Paru wyleciało w powietrze, kilku po prostu podpalono.

Nad Renem mieszkał Friedrich Bergius. Profesor. Doktor. Ten w 1913 roku opatentował laboratoryjny proces upłynniania węgla Orłowa jako swój. Rockefeller i Deterding nadal nie zwracają na to uwagi: najlepszy dowód, że nie ma na co — przez pięć lat wciąż to samo. Ten Bergius dostał w roku 1901 nagrodę Nobla. Pewnie wywróciło mu się w głowie. Co mu się marzy: benzyna z węgla? Wykluczone! Chociaż...?

Ten węgiel to w ogóle niebezpieczny surowiec. Był spokój, dopóki pakowano go do pieca. Grzał ludzi i to było bardzo szlachetne. Po prostu wrzuszające — Dickens. Kominek. Na kominku jarzy się i trzaska węgiel. A ostatnio zamiast nim zwyczajnie palić, zaczynają się w nim doszukiwać ukrytych skarbów: to barwników, to aspiryny... Nafcie chyba to nie grozi. John Rockefeller zapowiada, że w roku 1939, w setną rocznicę urodzin, zamierza dyrygować małą orkiestrą. Wszak muzyka to jego pasja. Najlepszy dowód, że nie zwraca uwagi na niedorzeczny węgiel. Który z reporterów dał w łapę dozorcę. Stwierdził, że Henry Deterding ślizgał się na swej ślizgawce. Czy człowiek przejeżył trochę przykręca sobie łyżwy do podeszew? Benzyna z węgla to mrzonki!

Chociaż, taka saletra... Cały świat sprowadzał saletrę z Chile. To było zrozumiałe i utarte. Chilijski produkt wędrował we wszystkie strony globu: jedni nawożili nim ziemię, drudzy strzelali sobie w głowy. To już nie sprawa Chile, tylko odbiorców. Saletra to była bardzo zwykła sprawa. Po prostu nad skałami latały karmezyny. To oczywiście ptaki. Karmezyny żywiły się rybami, szczególnie sardelami, które przy skałach zjadały naniesione przez prąd Humboldt drobne organizmy roślinne i zwierzęce. Potem karmezyny robiły na-

turalnie kupkę. Po prostu jak zwyczajny wróbel. W ekskrementach ptasich tworzyła się saletra. Ot, cała filozofia.

A nagle przestano zwracać uwagę na Chile. Czyżby ptakom przestało smakować sardele? Oczywiście — nic podobnego. Ptaki w dalszym ciągu uważały je za najbardziej wyszukane danie. Ale w Niemczech niejaki Haber otrzymał saletrę z azotu powietrza.

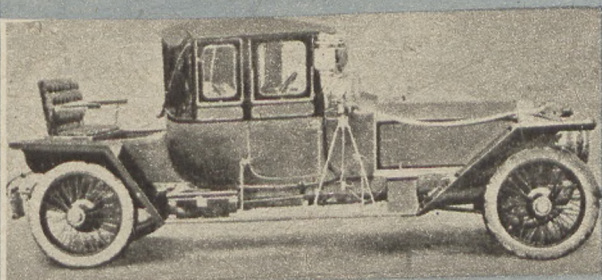
Cóż to się wyrabia?! Saletra z powietrza? Czy w tych warunkach nie można spodziewać się, że lada dzień benzyna rzeczywiście zostanie wyciśnięta z węgla?

Z dwóch dzentelmenów pierwszy nie wytrzymał nerwowo Deterding. Trzeba porozumieć się z tym Bergiusem. Ten człowiek wygląda na to, że rzeczywiście gotów przerobić węgiel na benzynę. Ładnego narobiłby bigosu. Uparty gość.

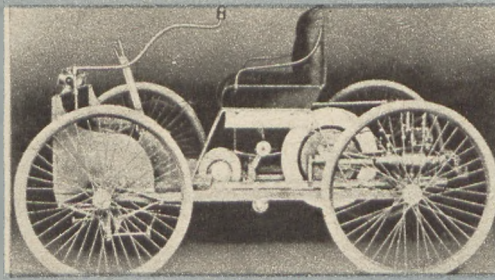
Okazuje się, że dogrzebał się do zapisków jakiegoś nowego Rosjanina. Prawdziwe przekleństwo z tymi ludźmi! Ipatow. Ten robił doświadczenia z uwodornianiem węgla z większym jeszcze powodzeniem niż Orłow. W Niemczech akurat panuje inflacja. Bergiusowi przybywa nowy problem. Odtąd prócz benzyny szuka pieniędzy. Wyjeżdża w końcu do Holandii: w Hadze znów zasiada do węgla. Deterding postanawia działać. Okazja — wysniona! Wszak chodzi o Holandię. Tu panuje depresja, wywierca się dziury w serze, a prócz tego tu przecież tatuś Deterdinga handlował błękitnymi tulipanami. To jego ojczyzna. Zatem przedstawiciele „Royal Dutch Shell” wybierają się w drogę do Hagi. Zupełne głupstwo — byle przepłynąć La Manche.

W Hadze — niespodzianka! Bergiusa już nie ma. Ulotnił się, czy co? Z chemikami wszystko możliwe. Ale jego zniknięcie jest znacznie mniej romantyczne. Po prostu przybycie przedstawicieli Deterdinga uprzedzili inni przedstawiciele. Łatwo się domyśleć — IG Farben-Industrie Aktien Gesellschaft.

Dalszy ciąg nastąpi



W porównaniu ze zdjęciem sąsiednim — to wytwórna limuzyna. Typ francuskiego „Panhard”-a z r. 1909



Tak wyglądał pierwszy model samochodu typu „Ford”, pochodzącego z roku 1896

20 września 1826 roku pułkownik Amoros (1770—1848) napisał jeden z pierwszych sportowych reportaży naszych czasów. Ten pionier sportu, z pochodzenia Hiszpan, założył pierwszy nowoczesny stadion w Paryżu na placu Dupleix, za Polém Marsowym. Amoros miał jednak licznych przeciwników, którzy propagowane przez

niego ćwiczenia gimnastyczne uważali za bezpożyteczne. Stadion został zamknięty z rozkazu królewskiego w roku 1837.

Reportaż zamieszczony poniżej ukazuje czym były biegi przed stu dwudziestu ośmiu laty. Dziś opis ten wydawać się nam może raczej... żartem.

BIEGACZ Maurycy Rummel, lat 17, pochodzący ze wsi położonej w pobliżu Darmstadt w księstwie Heskim, przebiegł sześciokrotnie dookoła Pola Marsowego, na którym w poniedziałek 4 września odbędą się wyścigi konne. Zapowiedział on uprzednio publiczności, że owych sześć okrążeń przebiedzie w 48 minut. Przestrzeń, jaką miał do przebycia, wynosiła trzy i pół mili.

Bieg trwał 46 minut 51 sekund i odbył się jak następuje:

Start nastąpił o godzinie piątej minut dwie. Rummel ubrany był w czerwoną myśliwską kurtkę ze złotymi galonami, białe spodnie, czerwone pantofle, czerwoną, bardzo lekką czapkę z piórem, w rękę trzymał bicz, w ustach chusteczkę do nosa. Kierunek biegu obrał w lewo, ku rzece i przeciw wiatrowi. Bicz służyć mu miał do obrony przed psami oraz do odpędzania widzów, do pozdrawiania znajomych i wykonywania różnych drobnych ewolucji. Chustka zabezpieczała przed wiatrem i kurzem.

Początkowo Rummel biegł tak powoli, że z łatwością można by podwoić osiąganą przez niego szybkość; mimo to jednak okrążył on pole wyścigowe po największym obwodzie w 6 minut i 48 sekund, nie zatrzymując się ani razu.

NIE POPYCHAĆ BIEGACZA!

Kiedy biegacz powrócił na miejsce startu, jeden z widzów klepnął go po ramieniu, by dodać mu kurażu i pogratulować z powodu osiągniętego sukcesu. Osoba ta postąpiła by jednak rozsądniej, nie dotykając go wcale. Wszelkie bowiem nieprzewidziane wrażenia mogą tylko zaszkodzić ludziom wykonującym podobne ćwiczenia i przeszkodzić im w osiągnięciu pomyślnych wyników.

Zauważyłem, że Rummel wprowadzał podczas biegu oswojone ciało w niepotrzebny ruch kołyszący i na zmianę — raz jedno, to znowu drugie ramię wysuwał do przodu i cofał do tyłu. Głowę trzymał naleyście, nogi pracowały bardzo dobrze.

Drugie okrążenie przebyte zostało w 7 minut 12 sekund. Biegacz rozpoczął je od zewnętrznego łuku pola, potem jednak posuwał się wzdłuż kręgu wewnętrznego, to jest po przestrzeni pustej zazwyczaj w czasie wyścigów konnych, między trasą przeznaczoną na bieg koni i środkiem Pola Marsowego, gdzie popisują się zazwyczaj kawalerzyści.

Zapytany, dlaczego wybrał za drugim razem krąg środkowy, mniejszy niż krąg zewnętrzny (przez co skrócił długość biegu) Rummel odpowiedział, że chciał w ten sposób uniknąć kamieni, którymi zasypywany był poprzedni szlak, przy czym na decyzję jego wpłynęły rady rzucane mu przez widzów. Drugie okrążenie wykonał on w czasie o 14 sekund dłuższym niż poprzednie, mimo że przebywał mniejszą przestrzeń.

SZALEŃSTWO PRZY MECIE

Na trzecie okrążenie, również po tym samym obwodzie, zużył biegacz 8 minut 6 sekund. Podczas biegu zatrzymał się na chwilę, by zrzucić beret, a raczej kaszkiecik.

Czwarte okrążenie wykonał w 8 minut 30 sekund; tym razem zatrzymał się na dłuższą chwilę. Piąte okrążenie, wciąż po tym samym szlaku, przebywał Rummel, wliczając w to chwilę odpoczynku, w 8 minut 15 sekund. Szóste wreszcie i ostatnie — mniej więcej w 8 minut. Mówię „mniej więcej”, nie można było bowiem oznaczyć dokładnie godziny jego przybycia na mecie, ponieważ publiczność wzięła szturmem wszystkie przeszkody, natarła na nieszczęsnego zwycięzcę i nie opuszczała go ani na krok, przy czym każdy ze spektatorów starał się znaleźć w pobliżu, przyjrzeć mu się dokładnie, dotknąć go lub uściskać. Ojciec zwycięzcy bronił go i osłaniał z niezwykłą energią, a żołnierze królewskiej gwardii pomagali mu w tym jak mogli wśród powszechnego zamieszania.

Jak widać z zamieszczonych tu obliczeń, porównanych z kilkoma innymi, które dokonane były z wielką uwagą, Rummel dotrzymał przyrzeczenia obiegając Pole Marsowe w czasie krótszym niż zapowiadał. Zużył on jedynie 46 minut 51 sekund, zyskując w ten sposób 1 minutę i 9 sekund na czasie, który miał do rozporządzenia. Trzeba jednak dodać, że wskutek zmiany trasy biegu zmniejszył on znacznie zamierzony kurs i nie przebył wskutek tego pełnych trzech i pół mili, jak to był ogłosił.

SYLWETKA ZWYCIĘZCY

Udałem się do Rummla, by sprawdzić naocznie jak jest zbudowany, by zasięgnąć informacji na temat jego sprawności fizycznej i gimnastycznej, przyzwyczajen,

obyczajów itd. I oto co mogę powiedzieć w tej sprawie: Rummel jest wzrostu małego, chudy, suchy, blondyn o białym ciele, żywy, łagodnego usposobienia. Ma ładną twarz i temperament sangwinika. Nie miał dotąd nigdy do czynienia z kobietą i jedyną jego namiętnością jest bieg. Umie tylko biegać, czytać i pisać, nic poza tym; bieganie jest zresztą, jak dotąd, jego jedynym zajęciem. Jego sposób odżywiania nie odznacza się niczym szczególnym, w te dni zaś, kiedy ma biegać, wstrzymuje się całkowicie od posiłków. W jakiś czas po biegu wypija kilka łyków wody, by przepłukać organizm i zwilżyć usta. Stopy jego są silne i świetnie rozwinięte, zwłaszcza ich część przednia, tam bowiem znajduje on punkty oparcia w biegu, służące mu jako poduszeczki lub giętkie resory, co z kolei ułatwia mu unoszenie nóg i zabezpiecza przed urażeniem części bardziej wrażliwych. W ten sposób męczy się mniej i mniej cierpi niż inni. A to dzięki temu, że częściej niż inni powtarza te same ruchy, przez co stają się one dlań łatwiejsze.

Wszyscy ludzie zdolni są osiągnąć podobną sprawność i byłoby sprawą wielkiej wagi, gdybyśmy zdobyli sobie dziesięć tysięcy takich biegaczy jak Rummel, co nie jest znowu tak trudne do osiągnięcia. Młodzieniec ten nie uczył się biegu według jakichkolwiek obmyślonych zasad, wykorzystał jedynie swoje wrodzone talenty.

2000 FRANKÓW ZAROBKU!

Wpływy uzyskane z tej imprezy na Polu Marsowym wyniosły 4000 franków, wydatki — 2000 franków. Czysty zysk wyrażał się w sumie 2000 franków.

Wśród tłumów oklaskujących sukces biegacza i wiwatujących na jego cześć, znalazł się jednak rywal, który utrzymywał uparcie, że tę samą przestrzeń zdoła przebiec w 40 minut. Na to pan Vila, były oficer kawalerii francuskiej dał wyraz swym powątpiewaniom w możliwość uzyskania takiego wyniku, nie zaniebując jednak ubrać ich w formę, jaką podyktowała mu francuska i wojskowa uprzejmość.

AMOROS

Dyrektor Wojskowego i Cywilnego Stadionu dla Straży Ogniowej

Paryż, 20 września 1826 r.



MISTRZOWSKI RZUT

Niedawno temu nadeszła z Leningradu telegraficzna wiadomość, że Nadieżda Konajewa ustanowiła nowy rekord świata w rzucie oszczepem osiągając 53 m 56 cm. Wywołało to duże zdziwienie, gdyż pobicie rekordu lekkoatletycznego w okresie zimy bynajmniej nie było łatwą sprawą.

Nadia Konajewa w ciągu kilku godzin stała się sławną. Kim jest ta dziewczyna? Czy dawno zajmuje się sportem?

Gdy Natalia Smirnickaja rzuciła oszczepem 53 m 41 cm, ustanawiając nowy rekord świata, Nadia Konajewa stawiała dopiero pierwsze kroki na boisku. Będąc jeszcze uczennicą startowała w szkolnych zawodach. Spróbowała wtedy oszczepu i osiągnęła 35,78 cm. Nie było to wiele, lecz Nadia była zadowolona. Wówczas nie marzyła nawet, że może kiedyś zostać rekordzistką świata.

W szkole Nadia uprawiała niemal wszystkie sporty. Jeździła na łyżwach i na nartach, biegała, a najchętniej rzucała granatami.

Pewnego dnia zwrócił na nią baczniejszą uwagę szkolny nauczyciel gimnastyki Stefan Klimenko. Nie zamierzał on swojej uczennicy wychowywać na rekordzistkę. Chciał po prostu, aby uprawiała dużo sportów i aby wyrosła z niej silna, dorodna dziewczyna. On to wpoił w nią zamiłowanie do regularnych i solidnych treningów.

Różnorodność uprawianych dyscyplin sportowych wpłynęła bardzo dodatnio na rozwój fizyczny Nadii. W 1950 roku Konajewa uczestniczyła w zawodach lekkoatletycznych, zorganizowanych z okazji wiosennego sezonu. W owym dniu została rekordzistką Ukrainy, osiągając w oszczepie 38,18 m. Od tej chwili sportmenką zaczęła zajmować się zasłużony mistrz sportu Sinicki. Nadia zrozumiała, że oszczep stał się jej powołaniem sportowym. Na każdych zawodach polepszała swe wy-

niki. W ciągu roku kilka razy poprawiała rekord Ukrainy, rzucając oszczepem 45,84, 47,79, 49,36 m.

Sezon lekkoatletyczny miał się już ku końcowi, nadchodziła zima, lecz Nadia bynajmniej nie chciała rozstać się z ulubionym oszczepem i nie przerwała treningów.

W październiku ubiegłego roku w Kijowie Konajewa rzuciła oszczepem na odległość 52,26 m i zapewniła sobie miejsce wśród pierwszej dziesiątki oszczepniczek radzieckich.

W styczniu bieżącego roku Nadia wraz z grupą kijowskich sportowców została delegowana na zawody w Leningradzie. Odbywały się tam mistrzostwa zrzeszenia „Medyk”.

Rzuty oszczepem rozgrywano na otwartym stadionie. Boisko bieliło się od śniegu. Oczyszczono jedynie uliczkę, na której trzeba było brać rozbieg przed rzutem.

A jednak Nadia pobiła rekord świata. Jak się to stało? Niech ona sama opowie:

— Gdy weszłam na stadion, byłam stremowana, gdyż wydało mi się, że miejsce dla rzutów zostało nieszczerliwie wybrane. Powierzchnia uliczki rozbiegowej nie była idealnie wyrównana. Stadion był otoczony wysokimi drzewami, które rozpraszały uwagę podczas rzutów. W pierwszej próbie osiągnęłam zaledwie 43 m. Następny rzut spaliłam. W najlepszym osiągnęłam zaledwie 47,83 m, a taki wyczyn bynajmniej mnie nie zadowalał. Pozostała mi już tylko ostatnia szansa. Zbierałam wszystkie siły — wtedy to podbiegła do mnie jedna z doskonałych oszczepniczek, Ludmiła Anekina, i krzyknęła: „Śmiało, Nadia!”

Stałam na starcie, biorąc rozbieg, wzmagałam szybkość i wyrzucam „pocisk”. Oszczep poszybował wielkim łukiem i wbił się daleko w śnieg, aż za czerwoną chorągiewkę.

Wkrótce usłyszałam głos sędziego: „53 metry. 56 centymetrów”.

Notatnik zapaleńca

NA TRAWKĘ!

BYLEM już zdecydowany zmienić tytuł tej rubryki na „Notatnik zrzedły”. Zauważyłem bowiem, że do uwag „zapaleńca” zbyt często wkrada się zrzedzający ton, utyskiwanie starej babci, która niby wie lepiej niż młodzi, ale... Oczywiście, w duchu usprawiedliwiam się tym, że nie można zbyt długo grać na jednej strunie — na to trzeba być Paganinim — należy dbać o zmianę nastroju, tonu i tempa. I może ta nowa nuta — chichotu i zrzedzenia — przeważałaby, gdyby nie ostatnie wydarzenia sportowe. Znowu jest się zapaleńcem! Bo pomyślcie: pięć rekordów zimowych Polski w berlińskiej hali, ósme miejsce Ciaptaka w trójkombinacji alpejskiej w Aare, dobre wyniki naszych pływaków, sensacyjna forma pływaków radzieckich i w ogóle — Kanada! (Autor ma tu na myśli nie żargonowe wyrażenie naszych milusich bikiniarzy, ale wspaniałe zwycięstwo hokeistów radzieckich nad reprezentacją Kanady w Sztokholmie). No i wiosna — ptaszki, kwiatki, trawka, pierwsze kopanie ogródków i piłki.

Zima za pasem, zapaleńcy! Nie, nie, nie mi się nie popłatało — po prostu kalendarz sportowy nie jest normalnym kalendarzem, przypomina raczej kalendarze naszych przodowników pracy. Lato 1954 jest już faktem dokonanym, można najwyżej dyskutować — na materiale bieżącym — o zimie 1954/55. Dyskusja trwa już od szeregu miesięcy — czy należy trenować zimą? Ile i jak? Na sali, w hali czy na wolnym powietrzu? Przeważa opinia, że trenować należy — i możliwie i na sali, i w hali, i na powietrzu. Postaramy się poprzeć właśnie tę opinię.

Twierdzenie, że lekkoatletyka jest sportem sezonowym, że nie należy utrzymywać formy w ciągu okrągłego roku — wymaga rewizji, przynajmniej w pewnych indywidualnych wypadkach. Niektórzy nasi biegacze, jak Petkiewicz i Kucharski, odnosili duże międzynarodowe sukcesy zimą w hali. Okrągły rok startuje taki as jak Whitfield. Zatopek ostatniej zimy wykazał wspaniałą formę w Sao Paulo. Kolarze nasi pod koniec sezonu zebrani byli na obozie, mającym na celu „obniżenie łagodnie ich formy”. A kolarze rumuńscy — na odwrót — zima mieli trudny, wieloetapowy wyścig w Egipcie. Kto na tym lepiej wyjdzie? Nie wiadomo. Sądzę, że decydujący powinien tu być głos lekarzy. Byłbym wdzięczny dr Sidorowiczowi, gdyby zechciał się na ten temat w prasie wypowiedzieć.

Kusociński niewiele biegał w hali, za to bardzo lubił przelatać. Trenował chętnie na śniegu. Zatopek, Pujazon, Mimoun, wszyscy niemal biegacze francuscy biorą udział w wiosennych biegach na przelaj. A w Związku Radzieckim? W Kijowie odbyły się wielkie zawody lekkoatletyczne przy 12 st. mrozu! Zawodnicy startowali w wełnianych dresach. W biegu na 100 m Tiurin i Szewczenko uzyskali po 10,9 sek. Sitkin skoczył wzwyż 185 cm, a Bezborodowa w dal — 511, Koniajewa rzuciła oszczepem — 50,77 m. Ta ostatnia zawodniczka w podobnych warunkach ustaliła w Leningradzie nowy rekord świata — 53,56!

Nie jest bez znaczenia, że rekord świata padł właśnie w konkurencji technicznej. Przecież w rzucie oszczepem czy w skoku o tyczce trening kondycyjny nie może wystarczyć — konieczna jest ciągłość treningu, nawyk, odruch warunkowy. Inaczej trzeba wciąż wracać do punktu wyjścia. Ciekawe są w tym względzie uwagi współpracownika pisma „Sowietskij Sport”, Iljina. „Wyobraźcie sobie — pisze Iljin — tokarza, który z jakichś tam powodów — istotnych lub nieistotnych — zmuszony był na pół roku rozstać się z obrabiarką. Rzecz jasna, że kiedy znowu się przy niej znajdzie, nie będzie pracował tak pewnie jak niegdyś. Straci wiele ze swojej kwalifikacji”. — I Iljin przytacza powieść Zinglera: „Zongler, który opuścił dwa treningi — to kiepski zongler; zongler, który opuścił trzy treningi — nie jest w ogóle zonglerem”.

Podobny sens ma twierdzenie trenera Morończyka w jednym z ostatnich numerów „Przeglądu Sportowego”: „Tyczkarz skaczący w okresie letnim 415, osiąga zimą wynik zaledwie ok. 380 jedynie dlatego, że nie miał możliwości treningu technicznego w hali. Jest to zjawisko na pewno szkodliwe dla normalnego rozwoju zawodnika”. Jeśli mowa o Janiszewskim, to już na drugich zawodach w hali osiągnął — 4 metry. Nie jest to kres teo, co młody zawodnik potrafi. Obliczmy, ile ten zawodnik musi utracić z sezonu letniego, ażeby dojść do nienagannej techniki, a zrozumiemy, dlaczego tak trudno nam jest wystawić na czas drużynę lekkoatletyczną na pełnym gazie. Sen zimowy trwa zbyt długo. Oczywiście, recepty na trening zimowy powinny być stosowane dla zawodników indywidualnie, to nie ulega wątpliwości. Koniajewa, na przykład, trenuje 4 razy w tygodniu: raz w sali, raz w hali i dwa razy na boisku.

A teraz, lekkoatleci — więcej słońca, ciepła, kwiatków, ptaszków, nowalijek... I na trawkę! Tym razem — wszyscy bez wyjątku!



Na widok człowieka tarpany niespokojnie zaczynają strzyć uszami. Nie pragną one zbliżenia. Jeszcze parę kroków i stado rusza cwałem, aby skryć się za ścianą lasu. W rezerwacie na Mazurach żyje 40 dzikich koników.

DZIKIE STADO

Fot.: W. PRAŻUCH

NA MAZURACH pomiędzy jeziorem Śniardwy i wrzynającym się głęboko w głąb łąd pięknym jeziorem Biełdańskim, na cyplu porośniętym pierwotnym lasem, mieści się jedyny w swoim rodzaju rezerwat w Polsce — rezerwat dzikich koni.

Na przestrzeni 700 hektarów ogrodzonego lasu żyje tu około 40 małych kosmatych koników. Są to tarpany — potomkowie żyjącego niegdyś na swobodzie dzikiego leśnego konia.

Prowadzona w rezerwacie hodowla ma na celu dopiero „wyprodukowanie” tego gatunku, który zniknął z naszych ziem parę wieków temu.

Gdy gdzieś w XII wieku tarpan został u nas oswojony i rozpoczął służbę u człowieka, od razu poznano jego wyjątkowe zalety: odporność, żelazną wytrzymałość i niewielkie wymagania żywieniowe. Małe myszate koniki z charakterystyczną ciemną pręgą wzdłuż grzbietu — mierzynki albo koniki polskie, jak je nazywano — doskonale służyły w gospodarstwie. Jeszcze do dziś w powiatach krańskim i biłgorajskim zachowały się na wsi okazy koni o cechach bardzo zbliżonych do pierwotnego tarpana.

Najbardziej typowe okazy wykupione zostały przez państwo od chłopów. Z tych właśnie koników utworzono stadninę w rezerwacie.

Tu, zdane na własne tylko siły, muszą wynajdywać sobie paszę, znosić mróz i letnie upały. Takie życie coraz bardziej rozwija w tarpanach cechy pierwotne. Ich silny organizm coraz lepiej przystosowuje się do trudnych warunków życia w puszczy.

Dziś stado jest już prawie zupełnie dzikie. Koniki z daleka już na widok ludzi niespokojnie strzygą uszami, w każdej chwili gotowe do ucieczki.

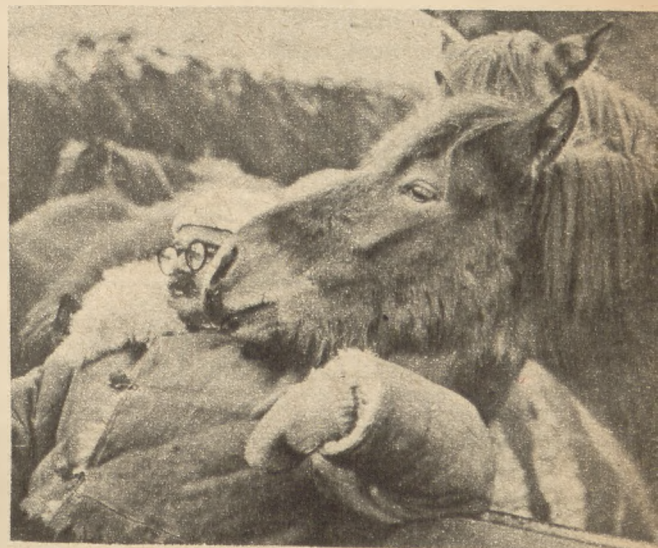
Nasze tarpany nie są zbyt urodziwe. Małe, garbatonose, ze zmierzwiłą sierścią — nie mogą mierzyć się z rasowym koniem nie tylko urodą, lecz również siłą czy rącością. Jednakże piękny arab, na skutek trwającej przez setki pokoleń opieki człowieka, zbyt delikatniał. Ma, co prawda, stalowe nogi, niestrudzone serce i płuca, ale lśniąca sierść i delikatna skóra nie chronią go już dość skutecznie przed zmienną, ciężką pogodą; zwierzę wymaga cieplej stajni i odpowiedniej paszy.

Odporność utraconą już przez araba — zachował jeszcze tarpan.

Połączenie najcenniejszych cech obu rodzajów koni — oto zadanie, jakie ma właśnie spełnić dzika stadnina z rezerwatu.

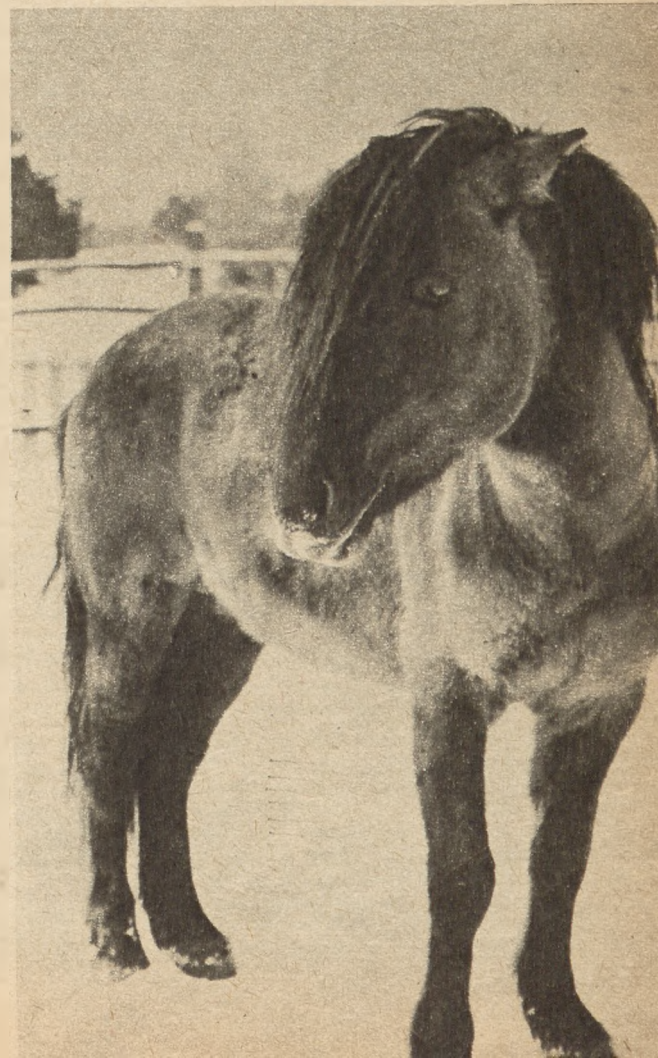
W różnych rejonach Polski prowadzona jest obecnie na wielką skalę hodowla konia rasowego i użytkowego. Liczba stadnin państwowych dziesięciokrotnie przewyższa stan sprzed wojny.

W hodowli tej tarpany mają do odegrania swoją rolę: drogą planowych skrzyżowań i wprowadzenia odrobiny krwi tarpana uzyska się wszystkie cenne zalety tego prymitywu w hodowli rasowego konia, zwiększając jego odporność, wytrzymałość i siłę.



Większość mieszkańców rezerwatu urodziła się i wychowała w lesie na swobodzie. Ich rodzice zachowują jednak nadal serdeczne stosunki z ludźmi. Gest pełen ufności najlepiej o tym świadczy

Choć to chluba stadniny — typowy tarpan, każdy przyzna, że trudno mu konkurować urodą z arabem



Wielki Wągor

MICHAŁ SZOŁOCHOW

Przeł: JÓZEF BRODZKI

Ilustrował: JANUSZ STRZAŁECKI

O WIECZERZY mężczyźni rozłożyli niedaleko budki ognisko i rozsiadli się dookoła niego, by pokurzyć — No, a teraz z ręką na sercu: dlaczegoście źle pracowali? Czemuście tak przeciągnęli orkę? — zapytał Dawydow.

— W tamtych brygadach mieli więcej wołów — odezwał się Bechlebnów młodszy.

— O ile mieli więcej?

— A cóż, ty nie wiesz? W trzeciej mieli osiem par więcej, a to, jakbyś nie liczył, zawsze cztery plugi. W pierwszej też dwa plugi więcej — no, to i wychodzi, że oni od nas silniejsi.

— A i nasz plan też był większy — wtrącił Prianisznikow.

Dawydow uśmiechnął się.

— A o dużo był większy?

— Bodaj o trzydzieści hektarów, ale zawsze większy. Ich też nosem nie zarze.

— A plan w marcu kto zatwierdzał, wy? Po co teraz biadolić? Obliczaliście według tego, ile która brygada ma ziemi — było tak, czy nie?

Dubcow odparł powściągliwie:

— Przecie nikt nie biadoli, Dawydow, nie o to chodzi. W naszej brygadzie woły kiepsko przezimowały. Sianka z sieczką też mniej u nas zostało, kiedyś*bydło i paszę na wspólne dobro przepisywali. Dobrze wiesz o tym wszystkim — po co się nas czepiasz? A no tak, przeciągnęliśmy, woły przeważnie słabe, ale paszę trza było jak należy przydzielać, a nie tak, jakieście we dwóch z Ostrownowem umyślili: co z własnego dano — tym karmcie chudzinę. No to teraz wyszło tak, że poniektóry skończył orać i bydło do koszenia sposobi, a my wciąż na podorywkach marudzimy.

— No to wam pomożemy. Lubiszkin pomoże — zaproponował Dawydow.

— A my nie odmówimy — oświadczył Dubcow wyzywająco przy milczącym poparciu wszystkich pozostałych. — My tam nie hardzi.

— Wszystko jest zrozumiałe — powiedział Dawydow po namyśle. — Jedno jest pewne, że i zarząd i my strzeliliśmy w tym wypadku byka: przydzielaliśmy podczas zimy paszę według, że tak powiem, kalkulacji obszaru — a to był błąd! Nieprawidłowo rozłożyliśmy siłę roboczą i pociągową — to drugi błąd! A czyja to wina? Samiśmy się pomylili — sami będziemy poprawiać. Jeżeli chodzi o wyrobek, mam na myśli dzienny wyrobek, macie całkiem niezłe liczby, a jak razem wziąć — niewiele to warte. Zastanówmy się, ile trza wam plugów dorzucić, żeby się z tego ślepego zaułka wydostać. Weźmy to wszystko pod ołówkę, a jak przyjdą pokosy uwzględnimy nasze błędy i porozstawiamy siły inaczej. Jak długo jeszcze można popełniać błędy?

Ze dwie godziny siedzieli przy ognisku, sprzeczali się, obliczali, dogadywali sobie bez złości. Bodajże aktywniej niż inni zabierał głos Atamanczukow. Mówił z ogniem, wysuwał rozsądne wnioski, ale Dawydow przypadkowo spojrzawszy na niego w chwili, kiedy Bechlebnów zjadliwie przejeżdżał się pod adresem Dubcowa, zmierzając w oczach Atamanczukowa taką ujrzał nienawiść, aż ze zdumienia podniósł do góry brwi.

Atamanczukow szybko opuścił oczy, dotknął palcami zarośniętej kasztanowatą szczecinę grdyki, a kiedy po chwili znów spojrzał na Dawydowa i spotkał się z jego wzrokiem, w oczach zjaśniała przybrana życzliwość, a każda zmarszczka na twarzy wyrażała dobronę beztróskę.

— Aktor — pomyślał Dawidow. — Ale dlaczego tak diabelnie patrzył na mnie? Jest zapewne obrażony za to, że go na wiosnę z kolchozu wylewałem.

Dawydow nie wiedział i nie mógł wiedzieć, że wtedy, na wiosnę, Połowcew dowiedziawszy się o wyrzuceniu Atamanczukowa z kolchozu, wezwał go do siebie w nocy i zaciskając mocno szczękę powiedział przez zęby: „I co ty, gamoniu wyrabiasz? Potrzebny mi jesteś jako wzorowy kolchoznik, a nie jako niepokohamowany głupiec, co to się wsyspie na byle czym, a później na przeslu-

Z przygotowanego do druku drugiego tomu powieści pt. „Zorany ugór“ Fragment niniejszy został odczytany przez Michała Szołochowa podczas spotkania z wyborcami w Rostowie nad Donem. „Literaturna-ga Gazeta“. Nr 29. 9 marca 1954 r.

chaniach w GPU gotów wszystkich innych zasypać i całą sprawę. Masz, sukinsynie, na ogólnym zebraniu kolchozu na kolana paść, a musisz dopiąć tego, żeby zebranie nie zatwierdziło postanowienia brygady. Zanim nie zaczęliśmy — ani nawet cień podejrzenia nie powinien paść na naszych ludzi“.

Atamanczukow nie miał potrzeby padać na kolana: i Jakub Łukicz, i wszyscy, co tak samo myśleli jak on, przy nagłym rozkazem Połowcewa zgodnie wystąpili na zebraniu w obronie Atamanczukowa — i zebranie nie zatwierdziło uchwały brygady. Skończyło się na tym, że Atamanczukowowi udzielono nagany.

Od tego czasu uspokoił się, pracował gorliwie, a nawet był wzorem dla in-



nych, którzy pracowali opieszale. Jednak nienawiści do Dawydowa i do ustroju kolchozowego Atamanczukow nie był w stanie ukryć głęboko i pewnie — niekiedy, wbrew jego woli wyzierała bądź w niebacznie powiedzianym słowie, bądź w uśmiechu sceptycznym, albo też rozbłykiwała wściekłyimi ognikami i natychmiast gasła w oczach ciemnoniebiskich jak hartowana stal.

Dopiero około północy ustalono dokładne rozmiary wymaganej pomocy oraz terminy zakończenia orki. Tu na miejscu, przy ognisku, Dawydow napisał kartkę do Razmiennowa, a Dubcow zaofiarował się, że niezwłocznie, nie czekając świtania, pójdzie do chutoru, przyprowadzi z trzeciej brygady na samo południe woły wraz z plugami i sam razem z Lubiszkinem wybierze najlepszą pracującą orkę.

Zapalili jeszcze raz w milczeniu dokoła gasnącego ogniska i poszli spać.

Tymczasem obok budki toczyła się inna rozmowa. Waria z namaszczeniem przepierała w żelaznej miednicy marynarską koszulkę Dawydowa. Obok stała kucharka i mówiła niskim, prawie męskim głosem:

— Czego ty, głupia, beczysz?

— Solą koszulka pachnie...

— I co z tego? U każdego, co pracuje, koszula solą i potem pachnie, a nie perfumami czy jakim mydłem pachnącym. Czego beczysz? A może skrzywdził cię?

— Skądże, co też ty mówisz, ciotuniu?

— No, to po co te łyż lejiesz?

— Przecie nie cudzą koszulinę piorę, tylko jego, mileńkiego... — powiedziała

dziewczyna, nachylając głowę nad miednicą i powstrzymując zdławione szlochy.

Po dłuższej chwili milczenia kucharka podparła się rękami pod boki i zawołała rozgniewana:

— Nie... dosyć mam tego! Ano, głowa do góry!

Biedne maleńkie dziewczynisko, siedemnaście lat ma wszystkiego! Podniosła głowę i na kucharkę spojrzały zapłakane, ale szczęśliwe oczy młodości, które jeszcze nie zaznały pocałunku.

— Mnie i sol na jego koszuli miła...

Potęźna pierś Darii Kuprianowny zakotłowała się gwałtownie ze śmiechu.

— Teraz, Warka, widzę, że się z ciebie zrobiła już prawdziwa dziewczucha.

— A jaka byłam dawniej? Nie prawdziwa?

— Dawniej! Wiaterek byłeś dawniej — a teraz dziewczucha z ciebie. Póki chłopak z innym chłopakiem nie pobije się o drogę mu dziewczuchę, to żaden jeszcze z niego chłop, tylko pół nogawicy. Póki dziewczucha jeno zęby szczyrzy i oczkami strzela — żadna z niej jeszcze dziewczucha, a tyle co i wiatr w spódnicy. Dopiero kiedy jej oczy z miłości zwilgotnieją, a nocami poduszka od łez nie wy-

tak chłopaki dowiedzieli w fabryce, jak tu z ciebie kierownik w, kolchozie, sprawiliby ci lanie — jeszcze jakie!

Obok budki pod otwartym niebem ułożyły się do snu kobiety. Na wpół drzemiąc Dawydow słyszał cieniutki głos Warii i barytonowy Kuprianowny.

— Czego się ty do mnie tulisz jak cielę do krowy? — mówiła kucharka śmiejąc się i nie mogąc złapać tchu. — Dosyć tego przytulania, słyszysz! Odsuń się, bo gorąc od ciebie bije, jak z pieca! Słyszysz, co do ciebie mówię! Niepotrzebnie się przy tobie położyła. Ale gorąca jesteś... czyż ty aby nie chora?

Cichy śmiech Warii podobny był do gruchania synagaliczki. Uśmiechając się przez sen, Dawydow wyobraził je sobie, leżące obok siebie, i pomyślał, zasypiając:

— Jaka miła dziewczyna... już duża... narzeczoną prędko będzie... a rozumu tyle, co u dziecka... Bądź szczęśliwa, Wariuško-bidulko!

Obudził się, kiedy już świtało. W budce nie było nikogo, z zewnątrz nie dochodziły męskie głosy — wszyscy oracze byli już na polu, jeden Dawydow wylegiwał się na szerokiej przycy. Szybko wstał, włożył onuce i buty, i wtedy zauważył przy wężłowi wypraną i kunsztownie, małymi ściegami, zacerowaną koszulkę, a obok czystą, płócienną bluzę.

— Skąd się tutaj wzięła bluza? Przyjechałem bez niczego... doskonale pamiętam... skąd ta bluza? Czary jakieś! — dziwił się niepomiernie Dawydow i, aby się ostatecznie przekonać, że to nie sen, dotknął ręką chłodnawego płótna.

Dopiero później, kiedy po włożeniu koszulki Dawydow wyszedł z budki — wszystko zrozumiał: Waria, przystrojona w szykowną, niebieską bluzeczkę i starannie wyprasowaną czarną spódnice, myła obok beczki nogi — różowa i świeża jak ten wczesny ranek — i uśmiechała się do niego pasowymi wargami, a jej szare, szeroko rozstawione oczy płonęły taką samą jak wczoraj radością.

— Naharowałeś się wczoraj, kierowniku? Zaspasłeś? — zapytała wysokim, roześmianym głosem.

— Gdzieżeś ty była w nocy?

— Na chutor chodziłam.

— A kiedy wróciłaś?

— Dopiero co.

— To ty mi koszulkę przyniosłaś?

Kiwnęła milcząco głową, a w jej oczach przemknął lęk:

— Możem co źle zrobiła? Może nie trza było chodzić do twojego mieszkania? Alem sobie pomyślała, że ta koszulka w paski to już długo nie wytrzyma...

— Zuch z ciebie. Wariucha!... Dziękuję ci za wszystko. A ty dlaczego się tak wystroiłaś?... Patrzcie! Toż ona i pierścionek ma na palcu!

Obracając w zakłopotaniu ręcznie zrobiony srebrny pierścionek na palcu, wyszeptwała:

— Brudne wszystko na mnie było, jak ziemia. Więc poszłam matkę odwiedzić i odzienie zmienić... — Naraz przeciężając zakłopotanie, błysnęła figlarnie oczami: — Chciałam jeszcze i pantofelki włożyć, żebyś ty na mnie bodaj raz w ciągu dnia spojrzał, ale w pantofelkach za wołami po polu niedaleko zajdzie...

Dawydow roześmiał się.

— Ach ty moja sarenko chyba... teraz cały dzień oczu od ciebie nie oderwę! No, idź, zaprzęgaj woły, a ja tylko się umyję — zaraz przyjdę.

Tego dnia Dawydow prawie wcale nie pracował: nie zdążył się umyć, kiedy przyszedł Kondrat Majdannikow.

— Przecież na dwa dni urlop wzięłeś, dlaczego tak wcześniej wróciłeś? — zapytał Dawydow uśmiechając się.

Kondrat machnął ręką:

— Przykrzy mi się tam. Żona wstała, febra ją trzęsa — i co ja mam tam do roboty? Zawróciłem — i jazda do was. A gdzie Waria?

— Poszła woły zaprzęgać.

— To i ja chyba pójdę orać — a ty czekaj na gości. Lubiszkin sam osiem plugów pędzi. Minałem ich w połowie drogi; Agafon — niczym ten Kutuzow — jedzie przed nimi na białej kobyle. Aha... jest jeszcze jedna nowina: wczoraj wieczorem, po ciemku, strzelali do Nagulnowa.

— Co? Strzelali?

— Ano strzelali, zwyczajnie... z karabinu... Jakiś tam czort go postrzelił. Siedział przy otwartym oknie, widno było w chałupie — no i strzelili do niego. Kula przeszła obok skroni, skórę opaliła i tyle. Głowę trochę dryga — ale żywy jest i zdrowy. Przyjechali z milicji rejonowej. Chodzą, szperają, ale to stracona sprawa...

— Trzeba będzie jutro się pożegnać z wami, pójdę do chutoru — postanowił Dawydow.

— Podnosi wróg głowę... co, Kondracie?

— No i co? To lepiej, niech podnosi. Podniesioną głowę łatwiej będzie odrać — odpowiedział spokojnie Majdannikow i zaczął zmieniać obuwie.

FOTO

KORESPONDENCI DONOSZĄ

ZIEMIA LUBUSKA CZEKA NA CIEBIE



Zabudowania mieszkalne i gospodarcze na działce w Grzmińcey (pow. Rzepin), którą wybrał sobie Michał Lenart, matorolny chłop z Piórkowa (pow. opatowski)

Ludwik Staszek z Piotrowa (powiat opatowski) pakuje dobytek, zabiera rodzinę, załatwia wszystkie formalności i przenosi się na Ziemię Lubuską.

Podczas kilkudniowego pobytu w województwie zielonogórskim, dokąd wybrał się z wycieczką chłopów z woj. kieleckiego, krakowskiego, łódzkiego i poznańskiego, odwiedził dokładnie powiat rzepiński, w którym właśnie są możliwości natychmiastowego osiedlenia się dla 150 rodzin chłopskich.

Obejrzał dokładnie ziemię na wolnych działkach indywidualnych, przyjął się schłudnym, murowanym domkom mieszkalnym i zabudowaniom gospodarczym, wypytal skrupulatnie o glebę i zbiory. Nie miał co się dziwić: zastanawiać: ziemia urodzajna, wygodna i nie niszczone budynki mieszkalne i

gospodarskie. Wybrał więc działkę: „Ta będzie dobra — zdecydował — dostanę ją wraz z obejściem na własność na dobrych warunkach, tylko brać się do orki wiosennej”.

Akcja przesiedleńcza obejmuje w zasadzie chłopów matorolnych i bezrolnych z terenów przeludnionych i odległych od ośrodków przemysłowych. Aby ułatwić im szybkie zagospodarowanie się, państwo udziela im na dogodnych warunkach pożyczek na zakup inwentarza żywego i sprzętu rolniczego. Działki indywidualne wraz z zabudowaniami otrzymują chłopcy na własność, z tym, że w ciągu pierwszych 3 lat zwolnieni są z opłat na rzecz Państwowego Funduszu Ziemi, a po tym okresie w ciągu 20 lat spłacają 1/8 część wartości całego gospodarstwa.

H. Lipiński, Zielona Góra

„KOMBINAT” WCZASOWY



A wieczorem kulig po pięknej okolicy Wisły

Ośrodek wczasowy w Wiśle w pełni zasługuje na nazwę kombinatu: posiada 21 domów wypoczynkowych, prowadzi własne ogrodnictwo i sad owocowy, wytwórnię cukierniczą — piekarnię, przetwórstwo mięsne oraz hodowlę nierogacizny.

— To są właśnie źródła naszych oszczędności, a zarazem droga do lepszego wyżywienia wczasowiczów — wyjaśnia kierownik Ośrodka Zenon Czapkiewicz.

Na każdym kroku widać dużą pomysłowość i inicjatywę pracowników Ośrodka. W pracowni cukierniczej i przetwórczej mięsnej zastanawia nas nowoczesne maszyni i urządzenia techniczne. Skąd je zdobyli?

Lśniące, nowoczesne urządzenia powstały z nienadającego się do „niczego” żelastwa, z wraków wydobytych ze składów złomu przez Wil-

helma Burego, jednego z pracowników Ośrodka.

Pracownicy Ośrodka w Wiśle nie mają jednak zamiaru poprzestać na dotychczasowych osiągnięciach. Chcą rozszerzyć produkcję przetworów garmażeryjnych, uruchomić kiszarnię kapusty i przetwórstwo owocowe — ważywno. Plan na rok bieżący przewiduje również wybudowanie chłodni przy zakładach przetwórczych.

Warto, by doświadczenia: zalogi „wiślanego kombinatu” zainteresowały się inne ośrodki wczasowe i poznały osiągnięcia Czesława Łaski (kierownika zakładów przetwórczych) i Wilhelma Burego — nowatorów w dziedzinie organizacji wczasów. Podniósłoby to na pewno jakość usług wczasowych w całym kraju.

Konstanty Józefowicz, W-wa
Zdjęcia: G. Buszyński, Wisła

S.O.S. WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA MUZYCZNEGO

Warszawskie Towarzystwo Muzyczne przed 93 lata założyl Stanisław Moniuszko. Warszawskie Towarzystwo Muzyczne ma krzewić, jak sama nazwa wskazuje, kulturę muzyczną wśród mieszkańców stolicy. Ale...

Warszawskie Towarzystwo Muzyczne mieści się w zupełnie nieodpowiednich warunkach. Zajmuje ono przy ul. Nowy Świat 24 zaledwie 5 pokoiów o powierzchni 81 m kwadr. oraz piwnicę o powierzchni 40 m. kwadr., gdzie dawniej była łaźnia.

Bogaty księgozbiór WTM, zawierający między innymi bezcenne rękopisy Chopina, Moniuszki, Elsnera, Norkowskiego, Karłowicza i Kurpińskiego, stłoczony jest w kilku niewielkich szafach, poustawianych z braku miejsca w małych wilgotnych pokojach i na korytarzu, tuż przy wejściu. Uniemożliwia to muzykologom studiowanie rękopisów i naraza zbiory na zniszczenie.

Brak też właściwego pomieszczenia dla delikatnych, wrażliwych na działania atmosferyczne instrumentów muzycznych.

Okolo 1500 dzieci i młodzieży uczy się muzyki i śpiewu w zupełnie nieodpowiednich warunkach lokalowych.

Chyba tylko jaktemuś nieporozumieniu należy przypisać fakt, że tak poważna placówka jak WTM dotychczas nie otrzymała odpowiedniego

lokalu, podczas gdy na każdym kroku mamy przykłady wielkiej opieki i troski państwa o rozwój kultury i sztuki w naszym kraju.

Odbudowano teatry i sale koncertowe, wkrótce będziemy mieli w Warszawie nową Filharmonię i odrestaurowa-



Kustosz WTM J. Neumann ogląda rękopisy, by stwierdzić, czy nie uległy zniszczeniu

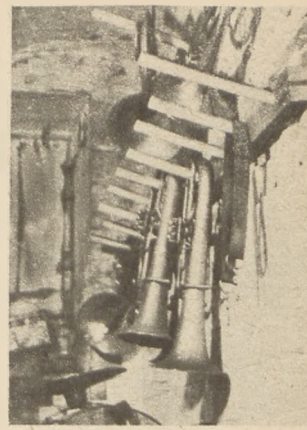
ny Teatr Wielki. w całym kraju organizuje się Domy Kultury, powstają coraz liczniej zespoły amatorskie, tworzą się nowe szkoły artystyczne, wiele milionów złotych łoży się co roku na rozwój kultury wśród najszerszych mas naszego społeczeństwa.

Tylko WTM...

— Zwracaliśmy się w sprawie przydziału nowego lokalu do Stołecznej Rady Narodowej i do Ministerstwa Kultury i Sztuki, niestety, na razie bez rezultatu — mówi wiceprezes WTM, ob. Jan Olów, beznadziejnie rozkładając ręce.

My jednak jesteśmy pewni, że rezultat będzie i że Warszawskie Towarzystwo Muzyczne już wkrótce otrzyma lokal odpowiadający jego celom i zadaniom.

Tomasz Czabański, W-wa
Fot.: F. Tracz



Magazyn instrumentów muzycznych

„MÓJ DOM ŚWIADCZY O MNIE”

Tej treści napisy widnieją na wielu klatkach schodowych bloków Miejskiego Zarządu Budynków Mieszkaniowych w Poznaniu. Mówią one o tym, że dozorcy domów przystąpili do współzawodnictwa w utrzymywaniu wzorowego porządku na klatkach schodowych, w bramach i na podwórkach domów mieszkalnych.

Inicjatorem pierwszej w kraju tego rodzaju rywalizacji jest Władysław Gruszczyński, dozorca bloku przy ul. Rolnej i Zielnej.

Zanim tam pójdziemy, dodajmy, że wywieszki informujące o współzawodnictwie kończą się słowami: „Obywatele lokatorze, szanuj moją pracę”. Od przestrzegania tego apelu zależy powodzenie współzawodnictwa. Zrozumieli to lokatorzy domów znajdujących się pod opieką W. Gruszczyńskiego. Między nimi a dozorcą wytworzyła się atmosfera wzajemnej troski o czystość i kulturalny wygląd ogromnego bloku i wielkiego podwórza. Również

na trawnikach nie ma śladu zniszczeń.

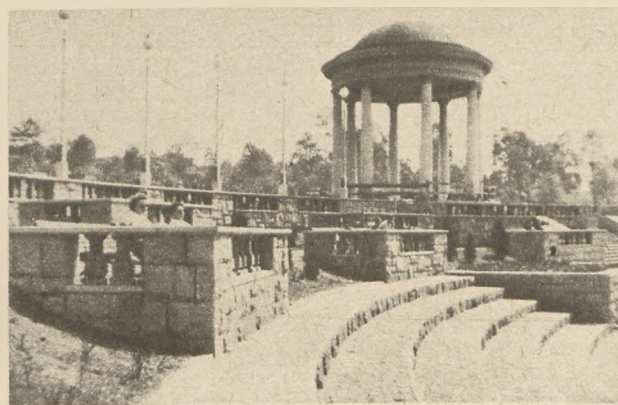
Współzawodnictwo o estetykę miejsca zamieszkania zainicjowane przez poznańskiego dozorcę rozszerza się na całą Polskę.

Z. T., Poznań



W. Gruszczyński — inicjator współzawodnictwa o czystość domów mieszkalnych

DLA STARYCH I MŁODYCH



Fragment Parku Kultury w Stalinogrodzie

Już w tym roku w Parku Kultury w Stalinogrodzie powstanie największe w Polsce Wesołe Miasteczko. Obfitować ono będzie w wiele atrakcji, które zapewnią rozrywkę nie tylko dzieciom i młodzieży, ale i dorosłym.

Sportowcy zażywać będą emocji na motocyklowo-samochodowej karuzeli; dla „wodniaków” powstanie jezioro sztuczne, po którym przejechać się będzie można łowerem wodnym.

Ludzie o zdrowych nerwach doznają niebywałych wzruszeń w diabelskim młynie, a wieża spadochronowa niedługo zapewne skłoni do uprawiania tego sportu na serio.

Dla dzieci powstanie ogródek jordanowski z licznymi rozrywkami.

Już niedługo w Wesołym Miasteczku w parku stalinogrodzkim będzie rojno i wesoło.

T. Rzepkiewicz, Stalinogrod

FREDRO W KWIDZYNIE

Choć zespół dramatyczny im. Fredry w Kwidzynie powstał niedawno, zdobył już sobie powodzenie i sympatię wśród mieszkańców tego miasta i okolic. Zadebiutował on wystawieniem na scenie kwidzyńskiej „Dam i Huzarów” Fredry. Sztukę reżyserował Jastrzębski, a w głównych rolach wystąpili: Czajka, Skoczewska, Jóworowa i Nowicki. Do powodzenia sztuki przyczynił się Spółdzielczy Przemysł Drzewny, który wykonał efektowne i pomyślane dekoracje, oraz warsztaty krawieckie spółdzielni „Nasza Praca”, których dziełami były znów stylowe kostiumy.

Poza pięcioma przedstawieniami przy szczelnie wypełnionej widowni w Kwidzynie.

„Damy i Huzary” odegrano również i w kilku innych miejscowościach naszego województwa: w Grudziądzu, gdzie jeden spektakl dla wojska zespół dał zupełnie bezpłatnie, oraz w Sztumie i Prabutach — wszędzie przy zapelnionej sali.

Zespół im. Fredry grać będzie również we wszystkich gminach powiatu kwidzyńskiego, chcąc ludność wiejską zapoznać z najcenniejszymi utworami polskiej literatury dramatycznej.

Po „Damach i Huzarach” zespół grać będzie „Zegadłowicza”, „Domek z kart”, a następnie „Zręczność i przekór” Fredry oraz Perzyskiego „Szczęście Frana”.

Alfons Wysocki, Kwidzyn



„Damy i Huzary” w wykonaniu zespołu im. Fredry w Kwidzynie

FOTOGRAFIA

NA CODZIEN

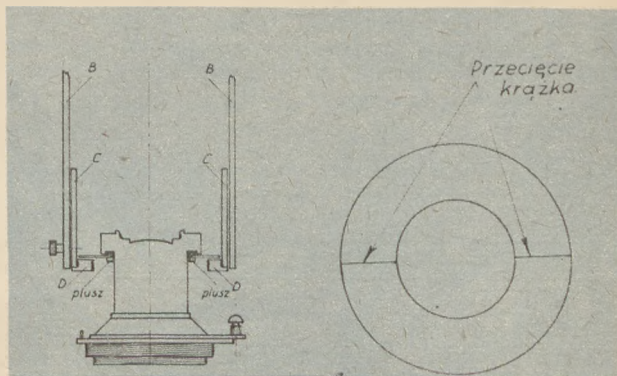
OD I DO CZYTELNIKÓW

Popularne wśród fotoamatorów powiększalniki krajowej produkcji API wyposażone są w pierścienie, umożliwiające zakładanie obiektywów z aparatów fotograficznych „Practica” i „Practiflex”. Jednak i posiadacze aparatów „Leica”, „FED”, „Zorki” mogą stosować obiektywy swych aparatów, jeśli dobudują sobie specjalne urządzenie.

Oto prosty sposób użycia do powiększalnika API obiektywu jednego z tych aparatów, który poda nam nasz Czytelnik. Andrzej Kaman z Marcyny Śląskiej. Potrzebny jest do tego tylko pierścień wycięty z blachy, rozcięty na połówki (rys. 2).

Po wykreśleniu wkrętki A z tubusa prowadnicy B wyjmujemy pierścień metalowy C. Wykręcamy następnie gwintowaną oprawę do obiektywu D, na przednią część obróconego „do góry nogami” obiektywu zakładamy połówki naszego krążka metalowego. Ażeby nie porysować tubusa obiektywu, brzegi połówek naszego krążka oklejamy pluszem. Wkręcamy z powrotem oprawę gwintowaną D, wkładamy znowu do prowadnicy pierścień C, wkręcamy śrubę A — i powiększalnik gotowy jest do pracy (rys. 1).

Pomysł nader praktyczny, a nieskomplikowany, zwiększa możliwości użytkowania powiększalnika.



ODPOWIEDZI REDAKCJI

A. Gradzickiewicz, Cmielów. — Sposobu wykonywania zdjęć na porcelanie nie znamy i w literaturze fachowej opisu nie znaleźliśmy. Radzimy zwrócić się w tej sprawie do Zakładu Doskonalenia Rzemiosła, Warszawa, Podwale 12.

St. Fyszenberg, Elbląg — O działaniu światłomierzy optycznych pisaliśmy już. Bez obejżenia wspomnianego w liście światłomierza „Tempoplex”, nie możemy podać sposobu posługiwania się nim.

L... (nazwisko nieczytelne) W-wa, Chmielna 126. — W sprawie wyjaśnienia posługiwania się tabelą światłomierza „Lioscop” radzimy zwrócić się do poradni Warszawskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Fotograficznego, W-wa, Śniadeckich 10. Poradnia jest bezpłatna, czynna w środy w godzinach 16—19.

„AMEKO KAEREI”!

Od cesarskiego pałacu Ota Nobunaga aż gdzieś po brudne zaułki portowe Atsufa ciągnął się nieprzerwany, skupiony wąż ludzki. Już od wczesnych godzin popołudniowych 19 sierpnia roku 1953 przed wielkim kinem „Tokugawa” w Nagoja, stolicy japońskiej prowincji Ken Aichi, gromadziły się nieprzeliczone tłumy. 20 sierpnia roku 1953 odbyła się premiera najnowszego filmu japońskiego o wymownej nazwie „Dzieci Hiroszimy”. Historia powstania tego filmu to zarazem w skrócie dzieje powojennego rozwoju japońskiej kinematografii.

W pierwszych latach po drugiej wojnie światowej produkcję filmową Japonii zmonopolizowało pięć wielkich koncernów ściśle związanych z japońską oligarchią przemysłową oraz kapitałem amerykańskim. Hollywoodzka szmira w amerykańskim i rodzimym wydaniu zalała kraj. „Gangster i prostytutka, to jedyni bohaterowie filmów japońskich” — pisał w roku 1949 korespondent „New York Times”.

W latach późniejszych nastąpiła pewna zmiana: miejsce gangstera coraz częściej zajmował „szlachetny samuraj” — symbol japońskiego militarysty. Ale poziom filmów i ich zdecydowanie reakcyjna ideologia nie uległy zmianie. Mister Irving Maas, szef tokijskiego oddziału wszechpoteżnego w zmarshallizowanym świecie „Motion Picture Export Association” — towarzystwa eksportu filmów amerykańskich, zacierał ręce: szmira hollywoodzka śmiało mogła konkurować na rynku japońskim z miejscową szmيرًا.

Wiosną roku 1950 potężna fala strajków wstrząsnęła Japonią; masy ludowe wzmożyły walkę przeciwko rządowi terroru i amerykańskiemu okupantom. W tym właśnie czasie sześć małych towarzystw filmowych, skupiających postępowych aktorów, reżyserów i scenografów japońskich, ruszyło do walki z zalewem amerykańskiej tandety kinowej. Przy poparciu związków zawodowych i postępowych intelektualistów towarzystwa te rozpoczęły pracę nad odrodzeniem japońskiej kinematografii. Za tworzywo służyła im bogata spuścizna ludowa i wielowiekowa kultura narodowa Japonii oraz codzienne życie japońskiego ludu.

Tych sześć spółdzielni filmowych to: **Hokusei**, **Jagi**, **Kindai Eiga Kyokai**, która wyprodukowała „Genbaku No-ko” — „Dzieci bomby atomowej”, **Szinseika Eiga** (kierownikiem tego towarzystwa jest Taleo Ito, twórca filmu „Kamikaze”, potępiającego amerykańską agresję w Korei), **Szinei** — w toku realizacji znajduje się film „Nippon no Teiso” — „Młodzież Japonii” o handlu dziewczętami i bandytyzmie żołnierzy amerykańskich w Japonii, **Szinsei**, która zrealizowała „Szinku Chita” — „Strefa niczyja”, film o zbrodniach wojsk amerykańskich w Korei. Film ten od wielu miesięcy nie schodzi z ekranów kin japońskich. Obecnie towarzystwo to kończy nakręcanie filmu „Kichi 506 Ko” — „Baza 506” o amerykańskiej okupacji Japonii.

Największym dziełem powojennej kinematografii japońskiej jest film „Dzieci Hiroszimy”. Autor scenariusza, Kaneto Szindo, założył przed kilku laty — razem ze znanym reżyserem Jozsimurą — spółdzielnię filmową „Kindai Eiga Kyokai”. Po zrealizowaniu „Romansu Genji” — wytwórnia postawiła przed sobą ambitny cel pokazania w dramatycznym skrócie skutków działania amerykańskiej bomby atomowej. Na przeszkodzie sta-



Postępowy film „Historia Ugetsu” uzyskał nagrodę „Srebrnego Lwa” na XIV Festiwalu w Wenecji

nat jednak brak środków finansowych. Z pomocą pospieszył postępowy Związek Zawodowy Nauczycieli Japońskich. 400 tysięcy członków związku opodatkowało się jednorazowo w wysokości około 40 groszy (w przeliczeniu). W rezultacie zebrano 160 tysięcy złotych, dalsze zaś 60 tysięcy pochodziło z subwencji japońskiej centrali związków zawodowych. Oczywiście, ta niewielka suma nie mogłaby pokryć wszystkich wydatków, związanych z realizacją pełnometrażowego filmu, gdyby nie poświęcenie aktorów i personelu technicznego. Często bez wynagrodzenia, ofiarnie pracowali oni nad realizacją filmu, który jest oskarżeniem amerykańskich zbrodniarzy.

Treść filmu jest następująca: młoda nauczycielka, Takao, pracująca w prowincjonalnej szkole, postanawia spędzić wakacje letnie 1952 r. w Hiroszynie, gdzie mieszkała do owego strasznego dnia sierpniowego, w którym o godzinie 8.20 rano samotny samolot amerykański zrzucił pierwszą w dziejach świata bombę atomową. Po przybyciu do leżącego w gruzach miasta, Takao udaje się przede wszystkim na grób swoich rodziców, którzy zginęli przed siedmiu laty na progu swego domku. Potem rozpoczyna poszukiwanie dzieci z przedszkola, którymi ongi się opiekowała. Odnajduje jedynie troje swoich dawnych wychowanków, reszta zginęła.

Sam wybuch bomby atomowej reżyser Szindo zastąpił niezmiernie dramatycznym obrazem: słyszymy odwołanie alarmu i widzimy, jak ludzie spokojnie opuszczają schrony spiesząc do swojej pracy. Obiektyw zatrzymuje się na budziku: jest godzina 8.15 rano. Miarowe tik-tak zegarka towarzyszy nam w czasie niemej wędrówki przez ożywione miasto: stolarz z mozołem dźwiga deski, pies biegnie ulicą, dziecko spokojnie raczkuje. I naraz — zegar wskazuje dokładnie godzinę 8.20 — straszliwa eksplozja. Na ekranie pojawia się wizja dantejskiego piekła: straszliwie wykręcone ciała ludzkie, zmasakrowane dzieci. Morze krwi w morzu płomieni...

Postępowy krytyk Fred Garhiat pisał: „Film „Dzieci Hiroszimy” przypomina swym dramatycznym napięciem wielkich klasyków kinematografii radzieckiej i dorównuje prawdzie ludzkiej, wyrażonej w „Ostatnim etapie”.

Sukcesy, jakie w ciągu ostatnich lat osiągnął postępowy film japoński, ukoronowane zostały ostatnio przyznaniem „Srebrnego Lwa” — najwyższej nagrody XIV Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Wenecji — japońskiemu reżyserowi Kenji Micoguki za film „Ugetsu Monogatari” — „Historia Ugetsu”.

„Ugetsu Monogatari” to obraz Japonii z końca XVI stulecia, kiedy kraj rozdarty był krwawą wojną domową między feudalami zacofanych, północnych prowincji rolniczych, a panami rozwiniętego gospodarczo południa, którzy dążyli do rozszerzenia wymiany handlowej z kupcami europejskimi. Na tle krwawej, wyniszczającej wojny pokazane jest życie dwójga prostych ludzi, biednych artystów.

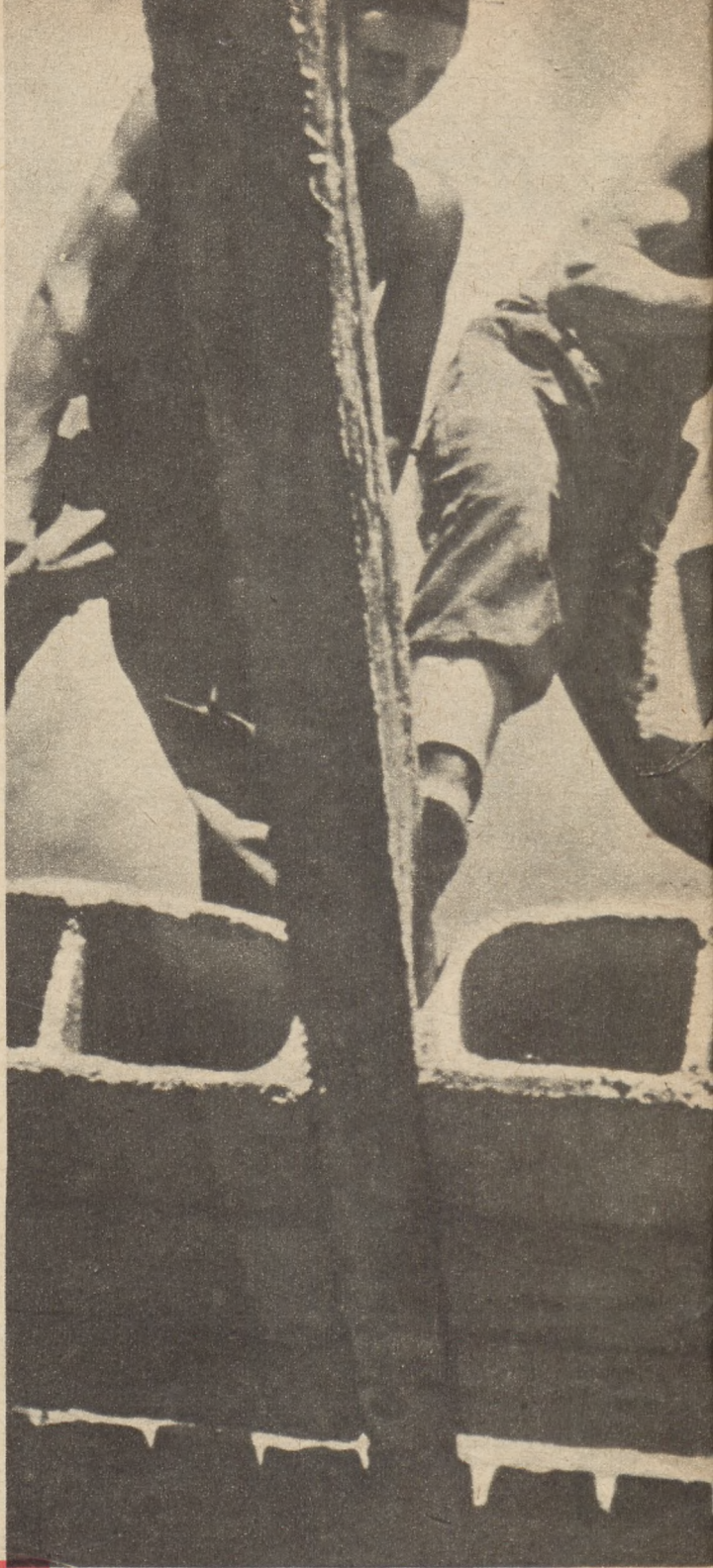
„Ugetsu Monogatari” — realistyczny obraz starej Japonii, to zarazem wyraz wzmoczonej walki japońskich artystów przeciwko tendencjom kosmopolitycznym w kinematografii japońskiej o odrodzenie narodowej kultury i sztuki.

20 sierpnia 1953 r. bezpośrednio po oficjalnej premierze filmu „Dzieci Hiroszimy” — Akira Iwasaki, występujący w imieniu sześciu postępowych wytwórni filmowych, zawarł z przedstawicielami związku japońskich właścicieli kinoteatrów umowę na realizację 36 pełnometrażowych filmów fabularnych, których koszt produkcji w 50 procentach zobowiązali się pokryć właściciele kin.

20 sierpnia stał się „czarnym dniem” nie tylko dla „Wielkiej Piątki” japońskich towarzystw filmowych, ale i dla mister Maasa. Umowa podpisana przez Akira Iwasaki stanowi dla Amerykanów dowód, że ich nieograniczone panowanie na japońskim rynku filmowym należy do przeszłości. Nic też dziwnego, że w parę dni później prasa amerykańska przystąpiła do ataku. Hasło podał „US News and World Report” głosząc, że: „to wszystko wina komunistów, którzy opanowali japońską kinematografię”. A pod koniec sierpnia amerykańska prasa przyniosła recenzję z filmu „Hiroszima” zaopatrując ją we wrzaskliwe tytuły: „What do they take us for? A Nation of Mugs?” — „Za kogo nas uważają? Za naród jełopów?”

Postępowi artyści japońscy nawiązują do wielowiekowej kultury narodowej, do żywej tradycji sztuki ludowej, do walki swego narodu o nową, demokratyczną, rokojową Japonię. I dlatego coraz głośniejsze jest w Japonii zawołanie: „Ameko, kaerei!” — „Jankesi, wyście się do domu! Razem ze swą filmową szmيرًا.

JOZEF SOLTYS



Scena z filmu dokumentarnego „Warszawa” — odznaczony I nagrodą na Międzynarodowym Festi-

DOKUMENTARNY —

Kiedy wybieramy się do kina — jest dla nas oczywiste, że idziemy na film fabularny. Pogodziliśmy się już z krótkometrażowymi „dodatkami” dokumentarnymi, ale rzadko, bardzo rzadko udaje się nas namówić, byśmy poszli na pełny program dokumentarny.

Oczywiście w wielu wypadkach widz kinowy ma rację, jakże często bowiem za terminem „dokumentarny” kryje się przyrządowy zlepek ruchomych obrazów, pozbawiony nie tylko linii dramatycznej i ambicji artystycznych, ale nieraz po prostu ładu i składu.

Czy oznacza to jednak, że sztuka filmu dokumentarnego nie istnieje, że jedyną artystyczną formą kinematografii jest film fabularny?

Pytanie to zadają sobie nie tylko widzowie, ale i wielu realizatorów. Żeby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba określić, co to jest film dokumentarny, czym może być, a czym być nie powinien.

Teoretyczna podstawa kinematografii dokumentarnej leży w tym, że w prawdzie życia, w autentycznych wydarzeniach tkwią bogactwa dramatyczne, niedostępne nieraz fikcji artystycznej. Autentyzm dokumentarnej opowieści kryje w sobie możliwości głębokiego poruszenia i zainteresowania widza. Film dokumentarny operuje konkretnymi losami konkretnych ludzi — pokazuje, jak oni wyglądają, jak żyją, jak się zachowują.

Istnieją takie filmy, jak: „Turksib” Turina, „Zapomniana wioska” Kline wg Steinbecka, „Opowieść z Luisiany” Flaherty’ego, „Ziemia ojczysta” Stranda, „Ziemia hiszpańska” Ivensa — filmy, które wstrząsają, które wzbogacają wiedzę o człowieku. Każdy z tych filmów był inny, autorzy ich posługiwali się różnymi metodami — jedno było im wspólne: ukazywały najważniejsze ludzkie sprawy, mówiły wszechstronnie o człowieku. Nawiasem mówiąc fakt, że żaden z tych filmów nie siedzi na naszych ekranach, z pewnością nie wpłynął pozytywnie na rozwój pojęcia naszego widza o filmie dokumentarnym, ani też na rozwój samego filmu dokumentarnego. A przecież takie dzieła jak „Zapomniana wioska” czy „Ziemia hiszpańska” są pod ręką!

Najpoważniejszym brakiem naszych (i nie tylko naszych) filmów dokumentarnych — nawet tych najlepszych — jest fakt, że w przeważającej większości pokazują one człowieka jednostronnie, w pracy, w produkcji — „Szyszka: 230% normy”, jak mówią w „Przygodzie na Marlesztacie”.

Film dokumentarny, operujący faktycznym materiałem i podpatrujący życie z bliska i na gorąco, ma wiele wspólnego



„Dzieci Hiroszimy”



Walu Młodzieży w Bukareszcie i nagroda w dziedzinie filmów dokumentalnych na Festiwalu w Wenecji.

NIE ZNACZY NUDNY

z kroniką. W wielu wypadkach czerpie z niej swoją tematykę, nieraz korzysta z jej surowej bezpośredniości. Ale film dokumentalny tak się ma do kroniki jak reportaż literacki do notatki prasowej. Filmy, które nie umiały pojąć dalej i głębiej niż kronika, którym brak dramatyzmu, są po prostu gadulstwem. To, co można było powiedzieć w 10 m tematu PKF — rozwleka się do 300 i więcej metrów pozbawionego poliny reportażu. Przykłady takich filmów można by mnożyć w nieskończoność: „Początek Abecadla”, „Reportaż z III Plaszczczyzny”, „Gospodarze gminy Belda”, „Towarzysze pancerni” — to filmy, w których nie widać, dlaczego zostały zrobione, dlaczego nie znalazły się w formie notatek w PKF.

Wynika stąd wniosek, że film dokumentalny nie jest rozszerzoną kroniką i może powstać tylko wtedy, kiedy realizatorzy umieją dostrzec w danym temacie dramatyczne losy ludzkie. Oczywiście w niektórych wydarzeniach dramatyzm jest tak zagęszczony, że prosta kronikarska rekonstrukcja wystarcza. To takich np. filmów podróży, jak: „Wielkie polowanie”, „Przygoda na Morzu Czerwonym” czy „Zdobycie Mount Everest”.

Posługiwanie się autentycznym materiałem z codziennego życia daje filmowi dokumentalnemu bardzo duże możliwości przekonywania i agitowania. Stąd chętnie posługujemy się filmem dokumentalnym jako formą publicystyki. Ale tu kryje się dalsze niebezpieczeństwo. Znamy przykłady doskonałej publicystyki filmowej, jak np. postępowe filmy francuskie realizatorów — „Francja żyje w nas”, „Horyzonty” czy „Francja wyzwolona” Jutkiewicza, „Odpowiedź” Wiernika i Pragli, „Ostatni Parteitag w Norymberdze” Bohdziewicz. Elementy publicystyki spotykamy w każdym prawie dobrym reportażu dokumentalnym. Ale na filmowe referaty ilustrowane ruchomymi obrazkami, referaty, których potrzebę usiłował kiedyś uzasadniać jeden z moich kolegów, nikt nie jest w stanie patrzeć.

Film dokumentalny rozwijał się w warunkach kapitalistycznych w walce z fałszem fikcyjnego świata filmu fabularnego. Zawsze — zarówno w ZSRR w latach 20—30, jak i na Zachodzie — torował drogi nowym kierunkom i nowej tematyce filmu fabularnego. Wystarczy tu choćby przypomnieć o dokumentalnych źródłach realistycznego filmu włoskiego. W naszych warunkach, gdy film fabularny może i powinien pokazywać prawdę życia — film dokumentalny winien tym bardziej dawać mu impuls przez śmiało eksperymentowanie, przez wyodrębnienie środków publicystycznych, przez nowe odkrywcze sposoby ukazywania człowieka naszych czasów.

WANDA WERTENSTEIN



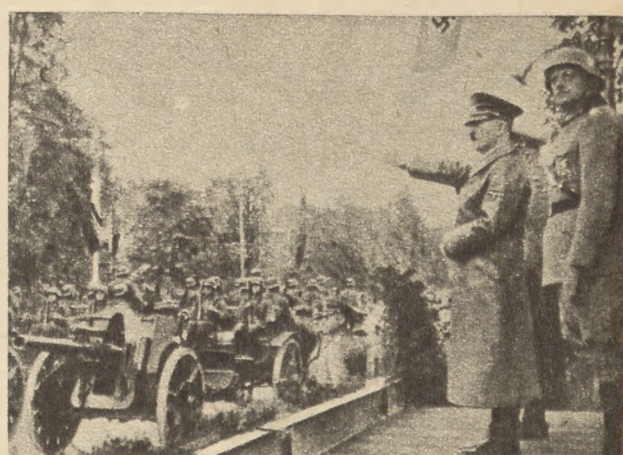
Gdy po pierwszej wojnie światowej cesarz niemiecki musiał odejść — zostali jego generałowie, prowadząc walkę z siłami postępowymi, organizując pucze faszystowskie i torując Hitlerowi drogę do władzy. Dziś Adenauerowi śnią się — kiedy dokonuje przeglądu swych żołdaków — wawrzyny innego kanclerza — Adolfa...

W uzasadnieniu wyroku Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze czytaliśmy taką opinię o Sztabie Generalnym Wehrmachtu: „W dużej mierze oni to zawinili, sprowadzając nieszczęścia i cierpienia na miliony mężczyzn, kobiet i dzieci... Bez ich wojskowego kierownictwa napastnicze zamierzenia Hitlera i hitlerowców byłyby abstrakcyjne i bezpłodne”.

Kim są ludzie, których teraz Adenauer zaangażował dla realizacji swych zbrodniczych zamierzeń? Trybunał Norymberski mówił już o... nich! Są to bowiem starzy znajomi z hitlerowskiego Wehrmachtu.

A więc szefem „wydziału wojskowego” w „Urzędzie Blanka” jest Adolf Heusinger, który 36 z 56 lat swego życia poświęcił na opanowanie krwawego rzemiosła podbojów. Swą generalską rangę zawdzięcza tylko Hitlerowi, za którego władzy w 8 lat awansował z kapitana na generała i został szefem wydziału operacyjnego głównego dowództwa wojsk lądowych. Położył wielkie zasługi (dla Hitlera) przy opracowywaniu planów napaści na Polskę, Danię, Francję i ZSRR. Przed Norymberskim Trybunałem ów zbrodniarz wojenny zeznał: „Zawsze byłem zdania, iż traktowanie ludności cywilnej w strefie operacyjnej oraz metody zwalczania band (Heusinger nawet przed Trybunałem Międzynarodowym używał w odniesieniu do partyzantów określenia „bandyci”) w strefie operacyjnej dały najwyższemu kierownictwu politycznemu i wojskowemu wyczekiwaną, pożądaną okazję do przeprowadzenia jego zadań, a mianowicie do systematycznego redukcjonowania Słowian i Żydów”. Wiemy dobrze, co się kryło za tymi nieco zawiłymi sformułowaniami. Wiemy też, że Heusinger nie zmienił poglądów. W październiku ub. roku nawoływał na łamach czasopisma „Bonner Hefte” do odwetu, pisząc m. in., że „bońskie wojsko musi atakować tam, gdzie nadarza się ku temu sposobność”. Aby nie było żadnych niedomówień co do kierunku uderzenia, Heusinger dodaje, że atak jest metodą walki „Zachodu ze Wschodem”.

Dawny adiutant Heusingera — płk. hrabia von Kielmannsegg jest teraz szefem wydziału operacyjnego w sztabie generalnym. Na czele komisji, która dobiera oficerów do adenauerowskiego wojska, stoi generał Kuenzen, który ma wyjątkowo wprost kwalifikacje do tego zajęcia: był szefem wydziału w Urzędzie Personalnym przy Głównej Kwaterze Hitlera. Pomagają mu trzej inni oficerowie, którzy mają „nienaganną” (dla Adenauera) przeszłość; byli to „generałowie wierni Fuehrerowi do ostatka”. Jest więc w tym triumwiracie generał baron Smilo von Luetwitz, którego ojciec — generał piechoty von Luetwitz, zorganizował w roku 1920 wspólnie z pruskim junkrem Kappem pucz prze-



...Hitlera. Ach — marzy Adenauer — gdyby to tak jak Fuehrer dokonać przeglądu swych wojsk na ulicach Warszawy (zdjęcie dokumentarne sprzed blisko 15 lat, dokonane po klęsce wrześniowej na ulicach stolicy Polski)! W Niemczech z zachodnich wskrzesza się sztab generalny, wierny Adenauerowi — jak Hitlerowi.

ciw republice weimarskiej. Dalej — generał baron von Gersdorf i generał baron von Boeselager.

Na zakończenie tej ponurej litanii — kilka słów wyjaśnienia dla Czytelnika tej rubryki. Zdjęcia Heusingera i Kielmannsegga są współczesne. Podobizny generała barona von Boeselager nie mogliśmy znaleźć w materiałach nadchodzących obecnie z bońskiej republiki. Siegnęliśmy więc po hitlerowskie wydawnictwo „Niemcy w boju”, rocznik 1942. W tej pamiętce po roku największych sukcesów Hitlera — odnaleźliśmy konterfekt pana barona von Boeselager. Na honorowym miejscu...



Zachodnio-niemieckie pismo „Main-Post” z 28 października 1953 roku zamieściło to zdjęcie z „pracy” adenauerowskiej policji, która przygotowuje się do krwawienia wśród Słowian idei „zachodnich” wg wzorów wypróbowanych w latach 1939—45. Zdjęcie wyobraża „przesłuchanie więźnia” — wyjaśnia „Main-Post” swym czytelnikom i zachwala im realność tych cwi-



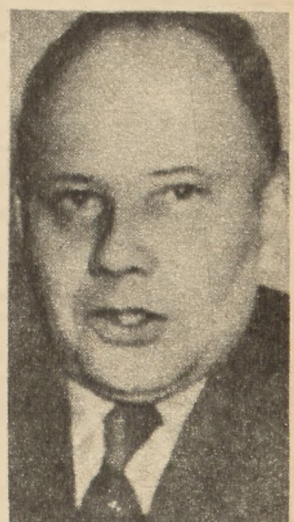
General Adolf Heusinger



plk. hrabia Kielmannsegg



gen. baron von Boeselager



Blank

Upiorna „pralnice“, drodzy Czytelnicy, ową słynną już w Warszawie pralkę elektryczną, o której fama głosi, że mocne, nowiutkie prześcieradło zamienia w kilkanaście minut na 36 nieobrabionych chustek do nosa.

Stała w kącie sklepu biała i, zdaloby się, niewinna jak dziewczica — przedwcześnie acz zasłużenie wycofana z obiegu. A że serce mam kobiecy (niech tu ogon rybi nikogo nie myli), zdjęta litościwą ciekawością podeszłam do niej i spytałam: — Kto cię zrodził, nieszczęsna?

— POMETAŁ — usłyszałam podobny do szmeru ciekającej wody szep. — Weź prospekt, weź prospekt — jęknęły jeszcze za mną rozchylone wargi jej gumowego węża — on ci wszystko powie.

Wzięłam prospekt. Istotnie powiedział mi wszystko. Mówił do znudzenia długimi bitymi pięcioma stronicami gęściutko zapisanego maszynopisu, bełkotał mętną, brudną wodą niezłego nie wyjaśniających wyjaśnień, chlustał chępliwym, nasmacznym frazesem.

Najpierw, że „bardzo istotne znaczenie w życiu społeczeństwa i dla jego zdrowotności ma technika prania, czyli przywracanie bielejnie czystości“. Dalej (a jakże), że „Państwo Ludowe mając na uwadze stałe podnoszenie na wyższy poziom stopy życiowej ogółu obywateli wiele środków przeznaczają na produkcję sprzętu domowego użytku... co wyraża się w całkowitym zabezpieczeniu interesów społeczeństwa przez... produkowanie maszyn pralniczych typu domowego, ułatwiających należyte przeprowadzenie prania, a tym samym zabezpieczających od przedwczesnego (!) zużycia bielejny stanowiącej nader ważną część majątku narodowego“ itd itd. Uff!

Nowa Wata — guzik, Kędzierzyn — flume. Włókn — bagatelka. „Całkowite zabezpieczenie interesów społeczeństwa“ — to proszę Was, tylko i wyłącznie „maszyna pralnicza typ nr 3 — zdolność upioru (!) 3 do 4 kg bielejny na 1 cykl“.

Są jeszcze w Polsce megalomani, są.

A potem długo, długo i szeroko o tym, jak się takim upiorem pierze. To jest

proszę was, poezja. Żałuję, że tylko okrucy mogą Wam tu podać, ale gdybym chciała całość, na nic innego miejsca by już w numerze nie starczyło.

A więc nie mówię się tu „woda“, jak to czyniły nasze babie i mamy, ale „kąpiel piorąca“. Bielejny nie wyżyma się, ani nie wykręca, lecz „pozbawia nadmiaru wody przez odwodnienie w wirówce, w wyżymaczce lub ręcznie“.

Ale to tylko początek kłopotów. Z prospektem w ręku udałam się do mydlarni i poprosiłam o kilogram mydła „słabo pieniącego się i tworzącego pianę zbudowaną z baniek drobnych lecz trwałych“. Tak tam kazali.

— Jak się ma banieczki w głowie — usłyszałam w odpowiedzi — to się idzie do psychiatry, a nie do MHD.

Im dalej w las, tym więcej grzybów — mówi przysłowie. W rzeczy samej. Kiedy już dosięgnęłam najrozmaitszych „środków piorących“, wleciecie, podgrzejcie, przekręćcie, kiedy się już zagrzeje, zawrże, zakipi, ostudzi, to jeszcze nie wszystko. „Co 10 lub 15 minut należy pobierać z maszyny niewielkie ilości kapieł piorącej do szklanki i zaprawiać paroma kroplami roztworu fenolfaleiny w spirytusie (szkoda, że nie grzybkami marynowanym). Próbkę powinna się wtedy zabarwić na różowo lub na czerwono. Jeżeli zabarwienie takie nie występuje, jest to dowodem, że kąpiel piorąca straciła swój zasadowy odczyn“. Łatwiutko, prościutko, nieskomplikowanie.

Macie już dosyć? O, nie ma tak dobrze! Ja się męczyłam, pomóżcie się i Wy. Zresztą będę dobra. Oszczędzę wam „harmonogramu maszyny pralniczej“. Ale o płukaniach muszę. Jest ich sześć. „Zadaniem płukania pierwszego jest niedopuszczenie do utworzenia się mydeł metalicznych i kwaśnych, które mogłyby powstać w razie zetknięcia się mydła pozostającego w bielejnie z wodą wodociągową“.

Konia z rzedem temu, kto potrafi prac bez „zetknięcia mydła z wodą wodociągową“, ale widocznie jestem nieuczona.

O dalszych pięciu płukaniach, „sodach“, „szkle wodnym“, „szarych grudkach mydeł metalicznych i kwaśnych“ nie będę już opowiadała. Bądź co bądź, nie po to zaangażowano mnie do redakcji, żeby tak od razu, od jednego felietonu „Świat“ stracił wszystkich swoich Czytelników. Nie mogę jednak pominąć jednego roz-

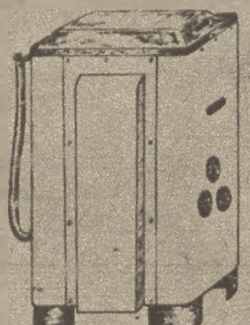
sądnego zdania w tym całym prospekcie: „Ostatnia woda płuczka jest zarazem kąpielą wykańczającą ostatecznie bielejnie“. Bo widzicie, gdyby przed kupieniem prakki-upioru nabywcy przeczytali to zdanie, zaoszczędziliby sobie wielu gorzkich rozczarowań, wielu prześcieradeł, koszul i ręczników.

„Nie ma nic nowego pod słońcem“ — mawiał Salomon. No cóż, nie jego to wina, że nie czytał prospektu pralnicy domowej typ nr 3. Dowiedziałby się wówczas, że „chcąc sprawdzić, czy bielejnia została należyte wypłukana, należy pobrać z pralnicy próbkę ostatniej wody płuczkiej, a woda ta wleża na język nie powinna mieć żadnego smaku“.

Dałam to do przeczytania mojej sąsiadce.

— Wolę zetrzeć sobie ręce do łokci przy bali niż pić rosół z kałesonów — powiedziała.

POZNAŃSKIE ZAKŁADY METALOWE
I FALIERNIA
POZNAN - U. WIEŚNIA 2
POMETAL



PRALNICA DOMOWA
Moc 10 W.
Moc podgrzewu 1000 W + 500 W
Zdolność upioru 3 do 4 kg bielejny na 1 cykl

rackiej w Polsce. Bronisław Białobłocki“.

W nowowydanej pracy Sandler omawia życie i działalność Bronisława Białobłockiego, jednego z pierwszych polskich krytyków marksistowskich.

WYBÓR PISM BIELIŃSKIEGO O PUZKINIE

„Dla polskiego czytelnika Bielińskiego rozprawy o Puszkynie mają wielkie znaczenie: krytykom i teoretykom jak również historykom literatury zaprezentują one świetną metodę wszechstronnej analizy literackiej, uczyć będą wnikliwego i trafnego łączenia rozważań nad problematyką dzieła i jego walorami artystycznymi — wszystkim innym zaś zbliżą i zrozumiałszą uczynią wspólną twórczość Puszkina, obok Mickiewicza najgenialniejszego poety całej słowiańszczyzny“.

W ten sposób charakteryzuje utwory krytyczne W. G. Bielińskiego wydawca nowego „Wyboru pism o Puszkynie“ Jan Trzyniecki.

Wybór ukazał się w cyklu Naszej Biblioteki (Ossolineum), starannie opracowany i udostępniony zarówno uczącej się młodzieży, jak i szerszemu społeczeństwu.

O POCHODZENIU POLSKIEGO JĘZYKA LITERACKIEGO

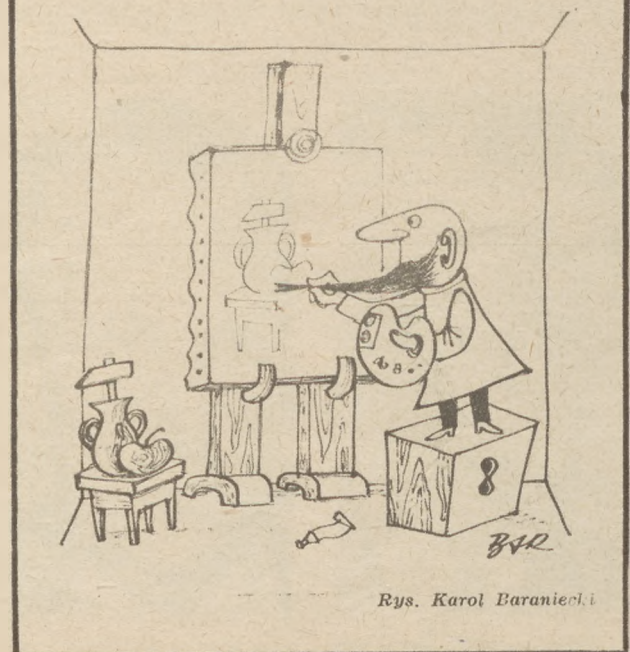
Wśród prac przygotowanych do Sesji Naukowej Odrodzenia Polskiej Akademii Nauk ukazała się nakładem Ossolineum rozprawa Władysława Kuraskiewicza pt. „Pochodzenie polskiego języka literackiego w świetle wyników dialektologii historycznej“. Opierając się na wynikach autor rozpatrzył na nowo niektóre właściwości narzeczy staropolskich oraz zestawiał ustalone w dotychczasowych badaniach wyniki dialektologii staropolskiej.

Praca została wydana starannie i zaopatrzona w ilustracje, podobizny tekstów staropolskich.

STUDIUM O ZAPOMNIANYM KRYTYKU

Nakładem Wydawnictwa Ossolineum ukazała się interesująca rozprawa Samuela Sandlera pt. „U początków marksistowskiej krytyki lite-

Kawał z brodą



Rys. Karol Baraniecki

NAGANA

SŁABISZEWSKIEGO wezwał do siebie dyrektor. Słabiszewski idąc do dyrektora nie był dobrej myśli. Kiedy już znalazł się w gabinecie swego przełożonego, tamten nie odzywał się dłuższą chwilę, przypatrując mu się badawczo. Wreszcie powiedział:

— Tak, panie Słabiszewski. Chciałem panu zakomunikować, że bardzo niezadowolony jestem...

W tym momencie zadzwieczył telefon. Dyrektor podniósł słuchawkę, a Słabiszewski z wzrastającym niepokojem myślał o tym, co go czeka.

Zanim jednak skończona została rozmowa telefoniczna, do gabinetu wszedł ktoś z centrali. Na jego widok dyrektor wstał z fotela z twarzą pogodną i szczęśliwą. Do Słabiszewskiego zaś rzekł:

— Wezwę pana innym razem, panie Słabiszewski.

Słabiszewski, całkowicie zdruzgotany, wymknął się z gabinetu jak cień. Idąc długim, biurowym korytarzem myślał:

— Tak więc doczekałem się. Już od dawna patrzył na mnie krzywym okiem. Nie podobam mu się, jest ze mnie niezadowolony. Ładna historia, nie ma co. Pracowałem się, było się uprzejmym wobec zwierzchników, aż tu nagle cała kariera, wszystkie plany, jak domek z kart, jak bańka mydlana...

Usiadł przy swoim biurku i zwieszlwszy smętnie głowę nad rubrykami, ścisnął się nadal:

— Nagana, ba, byleby tylko nagana. A jeżeli postępowanie dyscyplinarne lub wymówienie z pracy z fatalną opinią? Za co? Nie ważne za co: zawsze znajdzie jakiś powód, jakąś moją słabą stronę...

Po kilku godzinach zajrzał lękliwie do gabinetu dyrektora.

— Pan dyrektor był łaskaw wzywać mnie...

— Nie mam teraz czasu — zawołał dyrektor, nie podnosząc oczu z nad akt, leżących na biurku.

— Aż tak — przeraził się Słabiszewski — nawet rozmawiać ze mną nie chce...

Tego dnia nie mógł praco-

wał. Trawiony złowrogimi przecuciami siedział jak w gorączce. Jeszcze przed zakończeniem pracy udał się do sekretariatu dyrektora, licząc na to, że natrafi wreszcie na jakiś wspaniały moment, aby ten mógł udzielić mu nagany. Daremnie. Dyrektor wychodząc spieszył się bardzo.

W domu, po długiej walce z sobą, zdecydował się nakręcić numer telefonu.

— Ależ, panie Słabiszewski — ześlizgnął się dyrektor — ja tutaj akurat mam gości, a pan mi ze służbowymi sprawami...

W nocy Słabiszewski nie mógł zasnąć. Marzył.

— Od bałwanów, od kretyków niech by mi nawymyślał, z błotem niech by mnie zmieszał, ale w tej niepewności dłużej wytrzymać nie podobna... O ja nieszczęsny!

Rano, kredowo błąd, włókł się po schodach do biura. Tuż przy wejściu stał dyrektor, czytając jakieś ogłoszenie. Słabiszewski — omal nie zemdlał z wrażenia.

— Pan dyrektor był łaskaw... pan dyrektor miał zamiar — wymamrotał Słabiszewski.

Dyrektor odwrócił się.

— A! Pan Słabiszewski... — rzekł uśmiechając się zachęcająco. — Cóż tam nowego? Wygląda pan na chorego — dodał z z troską miną.

— Pan dyrektor wzywał mnie i mówił coś o swym niezadowoleniu...

Dyrektor zastanowił się chwilę i zmarszczył czoło.

— Słusznie, panie Słabiszewski — rzekł surowym głosem.

Prowadząc na pół przytomnego Słabiszewskiego pod rękę do swego gabinetu, ciągnął dalej:

— Chciałem zakomunikować panu, że nie jestem zadowolony z porządków, jakie panują w pana dziale. Wasz kierownik, wie pan, nie bardzo daje sobie radę. Krótko mówiąc, doszedłem do wniosku, że pan, jako długoletni, doświadczony fachowiec w tej dziedzinie powinien zająć jego miejsce...

JANUSZ OSEKA

Drodzy Czytelnicy!

Racjonalny przydział czasopism, oparty na znajomości rzeczywistego zapotrzebowania w określonych miejscowościach, jest podstawą słusznego kolportażu. Niestety, tak zwane nadziały pism są jeszcze zbyt sztywne i nie uwzględniają zmiennych sytuacji na rynku czytelniczym. W jednym mieście kioski narzekają na brak pewnych tytułów, w innych są natomiast zwroty. Dotyczy to również limitów w prenumeracie pocztowej. Niestety, PPK „Ruch“ nie dość żywo reaguje na te zjawiska, czego dowodem może być np. poniższy list:

„Z prawdziwą przyjemnością przeczytałem na łamach Nr 7 „Świata“ z br. moje własne słowa na temat trudności, z którymi zetknąć się musi znaczna większość Waszych czytelników z terenu m. Zabrze, jeżeli mniej lub więcej regularnie pragnie czytać redagowany przez Was tygodnik.

Jak pisałem, sądziliśmy (ja, moi towarzysze pracy i znajomi), że uratować nas może tylko stała prenumerata tygodnika „Świat“. Zgodnie więc z Waszą radą, umieszczoną w odpowiedzi na mój list, udałem się z dwoma kolegami do Urzędu Poczтового Zabrze 1, aby radę Waszą wprowadzić w czyn.

Możecie sobie wyobrazić nasze zdumienie i zaskoczenie, gdy urzędująca w specjalnym okienku (załatwiający prenumeratę czasopism) sympatyczna pani oświadczyła nam uprzejmie, że zgłoszeń na prenumeratę „Świata“ niestety nie przyjmuje, ponieważ limit tego tygodnika na m. Zabrze wynoszący 100(!!!) egzemplarzy został znacznie przekroczony i obecnie Urząd Pocztowy Zabrze 1 będzie zmuszony zwrócić pieniądze oraz odmówić prenumeraty „Świata“ około 60 „nadprogramowym“ (ponadlimitowym) prenumeratorom. A oprócz tych 60 ponadlimitowych (od których pocztą przyjęła opłatę za prenumeratę) zgłaszają się codziennie nowi czytelnicy, których pani z okienka odprawia „z kwitkiem“!

Ale zarówno moi koledzy, jak i ja sam, chociaż odprawieni z niczym od okienka, postanowiliśmy nie dać za wygraną i udać się o pomoc do Was, Czcigodny Komitecie Redakcyjny.

Bo jakże to? Robotnicze Zabrze, centrum naszego przemysłu węglowego, liczące (z przedmieściami) około 170 tysięcy ludności, ma posiadać w swoim Urzędzie Poczтовым limit na 100 (słownie sto!!!) egzemplarzy „Świata“ w prenumeracie? Zakrawa to, naszym zdaniem, na jakieś grube nieporozumienie, które jak najszybciej należy wyjaśnić. Czyżby popularny tygodnik ilustrowany miał w dalszym ciągu pozostać dla sympatyków i czytelników z terenu Zabrze „białym krukiem“?

Domagamy się stanowczo zwiększenia limitu prenumerat „Świata“ dla Zabrze i prosimy Was o pomoc w tej sprawie.

W imieniu Czytelników
„Świata“ z terenu Huty
„Zabrze“
Jan Piotrowski“

W tej sprawie skierowaliśmy już list do odpowiednich placówek kolportażowych.

„ŚWIAT“

FRASZKI

CICHY WSPÓLNIK

Raz brakorób się uzałat:
„Jaka dziwna ta publika!
Całą winę na mnie zwała,
Chociaż w pracy mam współnika“.
A ktoś to ten wspólnik cichy?
Chyba poznać nam go już czas!
„To k o n t r o l e r jak ja lichy,
Który braki moje puszcza“.

TADEUSZ FANGRAT

O BANKIERSKICH TROSKACH

Bankiera, co spać nie mógł, ciężko wzdychał nocą,
Zapytała raz żona, czy się martwi o co?
Na to bankier: — Z dnia na dzień mniej słychać o wojnie,
Wszystko ęda pokoju! Jak tu spać spokojnie?

WALDEMAR BIEŻANOWSKI

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch“ Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłęsłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa“ Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 149. Papier rotogr. V/80—82 cm. — 5-B-12071 podpisano do druku dnia 17.III.54 r.

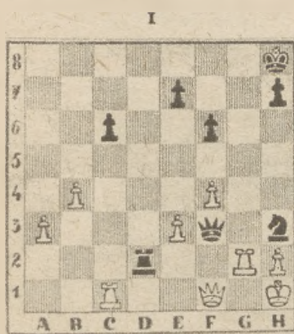
NOWY KONKURS

„POPRAWIAMY ARCYMISTRZÓW“

W poprzednim konkursie naszego działu zadaniem Czytelników było odnaleźć kombinację, przeprowadzoną przez arcy mistrzów. W obecnym konkursie zadaniem naszym są inne: będziemy korygować arcy mistrzów. Poniżej zamieszczamy 6 pozycji wzię-

tych z partii. W każdej pozycji była do przeprowadzenia jakaś kombinacja. W jednym przypadku mogła to być kombinacja wygrywająca, w innym ratująca przed porażką. Jedną jest wspólna cecha tych sześciu kombinacji: otóż żadna z nich nie

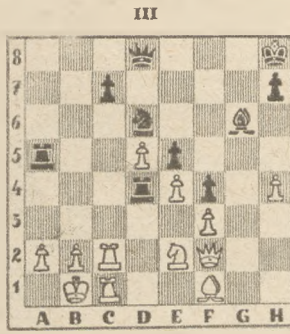
została wykonana na szachownicy przez arcy mistrzów, którzy zagrali w zamieszczonych pozycjach znacznie słabiej (tj. tak, jak pod diagramami podajemy). Zadaniem Czytelników jest wykryć niezauważone przez arcy mistrzów kombinacje.



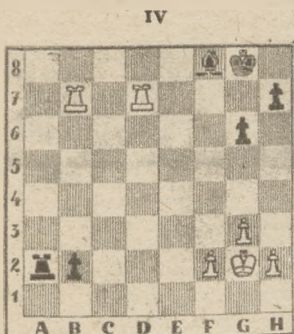
Smysłow (czarne) zagrał tu 1... Sf2+? 2. Kf1 Sh3+ itd. zadowolając się remisem.



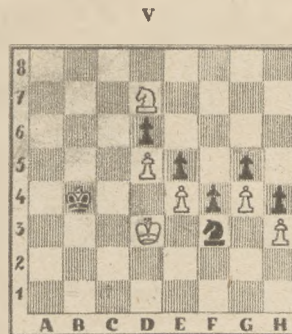
L. Szabo (białe) odbił po prostu figurę 1. G:f6?



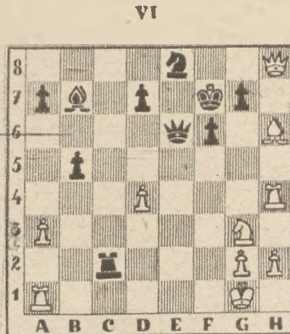
Gligoric (czarne) zagrał 1... Wd4? 2. Sc3 Wd4 3. b3! i po paru jeszcze ruchach poddał się.



Bolesławski (czarne) zagrał 1... Gc5? i po 2. Wd8+ Gf3 3. Wdb8 poddał się.



Keres (czarne) zdecydował się na 1... Sd4?, obawiając się widocznie ofiary białego skoczka 2. S:e5.



Geller (białe) po 1. Wc1? W:g2+ 2. Kf1 Hb3 3. Ke1 Hf3 poddał się.

Rozwiązania na wyciętym lub przerysowanym kuponie należy wysłać do dnia 30 kwietnia br. na adres redakcji „Świata“ z dopiskiem „Poprawiamy arcy mistrzów“.

KUPON KONKURSOWY „POPRAWIAMY ARCYMISTRZÓW“

JAK NALEŻAŁO ZAGRAĆ?

I	II	III
IV	V	VI

Nazwisko i imię

Adres

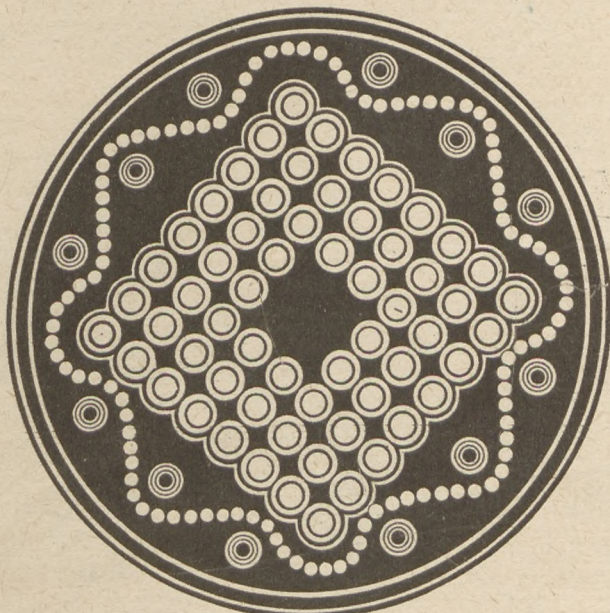
ROZRYWKI UMYŚŁOWE

MAGICZNA FIGURA

W każdy z sześciu rzędów ośmiokółkowych wpisać po 2 wyrazy pięcioliterowe w ten sposób, że dwie ostatnie litery pierwszego wyrazu są zarazem początkowymi literami wyrazu drugiego. Prawidłowo wpisane wyrazy, czytane rzędami poziomymi i pionowymi, będą miały jednokowe brzmienie.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Imię żeńskie — Dawna moneta polska, 2) Mieszkaniec gór — Postać z „Ballady“ Słowackiego, 3) Gatunek palmy — Przepis, prawidłowo, zasada, 4) Bezprawna doraźna kara stosowana przez Amerykanów w stosunku do Murzynów — Rodzaj bania-stego kielicha, 5) Drzewo właściwe okolicom zwrotnikowym, flaszowiec — Prawy dopływ Bugu, 6) Część dnia — Prawy dopływ rzeki Aa (Łotewska SRR).



Krata, krata różnej wielkości i barw — oto najmodniejszy materiał w sezonie wiosennym na suknie, spódnice i płaszcze.

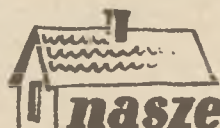
Bardzo modne w tym sezonie są również kapelusiki kryte tym samym materiałem kraciastym, z którego uszyta jest suknia lub spódnica. (Szalik należy także sporządzić z tego samego materiału).

Duży wybór wełen kraciastych o pięknych i oryginalnych zestawieniach kolorystycznych posiadają na składzie sklepy CPLiA.

W sklepach CPLiA ukazały się również bardzo ładne szaliki jedwabne i chustki ręcznie malowane. Anonsujemy je naszym Czytelnikom.



TANIO i ŁADNIE



PRZYPOMINAMY...

...że w okresie przedwiośnia kartofle bardzo już kielkują, wskutek czego pod skórą i kielkami wytwarza się trująca substancja — solanina. Nie należy więc przede wszystkim gotować kartofli w „mundurkach“. Obierać je nieco grubiej, starannie wycinając czarne punkty pod kielkami. Obrane zalać w rondlu gorącą wodą, a kiedy się zagotują, wodę odlać i zalać świeżą gorącą. Dalej ugotować jak zwykle.

grubości. Tak samo owinać uszka patelni i metalowy palączek czajnika do wody.

Srebrne przedmioty — puderniczki, łyżeczki, „tiki“ do papierosów najładniej czyścić się na sucho popiołem z tytoniu. Jest on miękki, nie rysuje powierzchni metalu i nie zostawia w zagłębieniach osadu, jak kreda.

PRZEJRZYJMY WIOSENNA GARDEROBĘ

Obuwie letnie już oddajmy do naprawy, rzeczy wymagające gruntownego remontu — do pralni chemicznej.

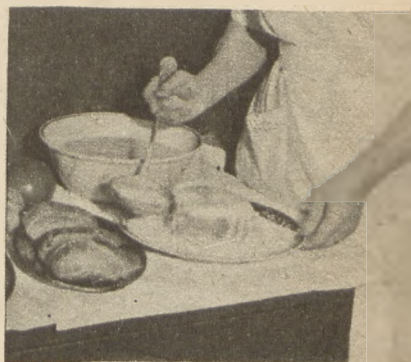
Małe odświeżenia garderoby możemy same zrobić w domu. Wyświeconą spodniczkę czy męskie ubranie wytrzeć dobrze, natrzeć szmatką zmoczoną w wywarze z mięty, zaprasować po prawej stronie przez wilgotne płótno. Zabrudzony i „wyświechtany“ kołnierz marynarki wyczyścić szmatką zwilżoną acetonem, po wyschnięciu uprasować przez mokre płótno. Tak samo acetonem wyczyścić zatłuszczoną wewnętrzną stronę kapelusza, oczywiście nie prasując go potem.

Kretony, płótna, popelinę — w ogóle wszystkie materiały przeznaczone do prania w wodzie — przed oddaniem ich do uszycia trzeba porządnie wyczerpać w gorącej wodzie i wyprasować na wilgotno. Nie będą się już później zbiegać w praniu.

RADZIMY...

Żeby nie parzyć palców przy unoszeniu pokrywki z rondla, trzeba okrócić uchwytkę pokrywki sznurkiem papierowym średniej

Ta „płata“ pora roku jest dość kłopotliwa, o ile chodzi o porządki domowe. Dni są dłuższe, jaśniejsze i należałoby choć z grubsza oczyścić



mieszkanie, zanim będzie można otworzyć okna badając cały dzień i gruntownie wysprzątać.

Tymczasem — otworzyć okna, nie zrywać jeszcze całkowicie wałków z waty, bo mrozy robią u nas niespodzianki prawie do maja, tylko poodrywać zwisające i poszarpane kawałki. Ramy okienne wytrzeć z kurzu i obmyć letnią wodą z amoniakiem (1 litr wody, 2 łyżki amoniaku). Na niedużej miseczce rozrobić gęstą papkę z denaturatu i mielonej kredy. Posmarować nią szyby, a gdy zaschnie, przetrzeć ściereczką.

Podłogę przede wszystkim zamieść i zetrzeć z niej kurz flanelową ściereką nałożoną na szczotkę. Do blaszanej puszki włożyć trochę białej pasty, wlać tyle benzyny, aby zrobiła się dość rzadka ciecz, wymieszać dobrze starą łyżką tak, żeby nie było grudek. Natrzeć tym podłogę, po dwóch godzinach wyfroterować do połysku. Tak przyrządzona „na rzadko“ pasta daje lepszy efekt niż gęsta. Benzynę można kupić na stacji benzynowej. Wprawdzie sprzedają nie mniej niż 5 litrów, ale na to jest rada: dzielić się nią z sąsiadkami.

DROGA przez WIEŚ

